

Landsberg ON

GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY

ISSN 2657-5280

NUMER 1(13)/2024

Nic nie jest przypadkowe – wstępniak naczelnego

Los, przypadek, przeznaczenie. Szczęście, pech, przesąd, przepowiednie. Takie tematy postanowiliśmy zgłębić w trzynastym numerze naszego czasopisma. Wynika to oczywiście z niebagatelnego znaczenia, jakie nasza kultura przypisuje liczbie trzynaście. Na drugim końcu fartownego spektrum jest siódemka. I tak się składa, że tym numerem rozpoczynamy siódmy rok wydawania magazynu. Przypadek? Nie sądzę!

Wiara w znaczenie częstokroć losowych zdarzeń to genetyczny spadek po naszych przodkach. Wczesny homo, który założył, że szelest w trawie to tygrys, mógł uniknąć stania się obiadem. Inny, który widział w tym tylko przypadkowy podmuch wiatru, skończył w żołądku wielkiego kota. Przesądny, doszukający się działania umysłu w losowych sytuacjach (teleologia), „małpolud” przekazał swoje geny dalej i oto jesteśmy. Doszukujemy się większego sensu i znaczenia w przypadkowych zbieżnościach.

Moje ulubione opowiadanie, wykorzystujące motyw losu i przeznaczenia, to „Po stycznej” Stefana Grabińskiego, nestora polskiej fantastyki. Polecam i zapewniam, że będziecie się dobrze bawić. Ale dobrą zabawę zapewni Wam też ten właśnie szczęśliwy numer „LandsbergONu”. Doszukamy się w nim większego, kosmicznego wręcz, znaczenia w pożarze gorzowskiej katedry, czy odnajdziemy sens w przypadkowych, zdawałoby się, reakcjach odwiedzających lokalny ośrodek sztuki. Na wstępie zaś wita Was na okładce gorzowska katedra, taka, jaką chcieliby widzieć ją gorzowianie, czyli bogatsza o wskazówki na zegarze. Jednakże cóż za godzinę one wskazują? Czy to przypadek? Nic nie jest przypadkowe.

Mariusz Sobkowiak
Redaktor naczelny

Haft z ludzkich żywotów

Coś upadło z hukiem na wybrukowany plac i poturlało się wprost pod jej nogi. Mała blondyneczka, mająca nie więcej niż sześć lat, różowym pantofelkiem pchnęła dziwny obiekt, który spadł jakby z nieba. Zagadkowy przedmiot, nad którym z zaintrygowaniem pochylała się dziewczynka, okazał się zaledwie nadpalonym fragmentem belki. Walcowaty kawałek drewna utknął w żelaznym uścisku gorących płomieni i został w części strawiony przez nieoklechnany żywioł o niepohamowanym apetycie na zniszczenie.

Dziewczynka, zafascynowana tym, co działo się wokół niej, uniosła wzrok nieco wyżej, by przyjrzeć się zza biodra swojej mamy wielkiemu placowi w samym sercu miasta. Zgromadziły się na nim dziesiątki, może nawet setki ludzi, zadzierających głowy ku górze. Wszyscy zahipnotyzowani, w całkowitej ciszy i z pewnego rodzaju żalem wypisanym na twarzach. W przejmującym milczeniu oglądali coś tam wysoko w górze, zupełnie ignorując harmider, który wytworzył się na dole.

Dorośli całkowicie zapomnieli o istnieniu

przyziemnych spraw, puszczając mimo uszu dźwięki muzyki, wygrywanej dwie ulice dalej. Pomijali przez swe zapatwienie podniesione głosy mężczyzn w strażackich mundurach i szum pompy, która hałasowała niczym burczący brzuch czerwonej ciężarówce. Nie dostrzegali też białego pyłu, który osiadał na ubraniach, ani drobnej mżawki, która moczyła im włosy. A co najważniejsze - patrzyli na strzelistą budowlę tuż przed sobą, lecz nie dostrzegali tego, co dla dziecka było oczywistością. Tego, co przerażało je na tyle, że bało się zerkać i tylko ukradkiem spoglądało ku wieży gotyckiej świątyni.

Wreszcie blondyneczka, zachęcona do tego jakimś nagłym trzaskiem kilkadziesiąt metrów nad jej głową, zadarła brodę do góry i spojrzała na tę dantejską scenę, którą tak uważnie, a przede wszystkim odważnie, oglądali wszyscy dorośli mieszkańcy nadwarciańskiego miasta, skapanego tego wieczoru w gęstym, szarym dymie.

Na początku dostrzegala tylko energiczny taniec języków ognia, które prześlizgiwały

się po ceglanych ścianach wieży, a nawet muskały zielonkawą patynę, pokrywającą dach. Pochłaniały coraz większą powierzchnię wieżycy, która aż drżała z gorąca. Dziecku zdawało się, że budowla oddychała z ulgą jedynie wtedy, gdy strażacy zacięcie polewali ją wodą, lecz i to nie pomagało w ratowaniu budynku. Jedynie zwiększało kłębiastą mgłę nad katedrą, położoną pośrodku urokliwej miejsciny.

Jednakże to nie szalejące płomienie wprawiły małą w trwożę. Prawdziwie przeraźliwy był kształt widoczny nawet w półmroku wieczoru na tle mlecznobiałej tarczy zegara, po której teraz leniwie spływały strugi wody niczym lży samego budynku. To właśnie na tej wysokości znajdowała się chaotyczna płatanina czegoś, co z tej odległości przypominało nici bądź cienkie, bordowe sznurki splecione ze sobą nieumiejętnie, przecinające się prostopadłe i na skos w zupełnym nieładzie. Ten dziwny supeł, zbierający setki, a może nawet tysiące nittek, trzymał się w powietrzu tylko dzięki temu, że sznureczki rozbiegły się we wszystkie możliwe strony.

Czerwone nici zahaczały o ostre zakończenia dachów PRL-owskich bloków i napierały na metalowe rynny zabytkowych kamienic w centrum miasta. Biegły od domu do domu, by obwiązać sobą kominy budynków, a czasem wpaść do nich przez otwarte okna. Tworzyły w ten sposób ledwie dostrzegalną w powietrzu autostradę, którą z wyraźnym trudem omijały ptaki i drobne owady, jak gdyby ta płatanina była gęstym haftem pajęczyny, w którą obawiały się wpaść niepostrzeżenie.

Dziewczynka przyjrzała się dokładniej tej zawilej konstrukcji, widocznie niedostrzeganą dla słabych, zmęczonych oczu dorosłych. Jej wzrok od razu powędrował do wielkiego supła przy zegarze, by po chwili dojrzeć w nim coś więcej niż tylko niekształtny kołtun wełny. To coś, zupełnie niezbadane, przypominało swym konturem postać człowieka. Sylwetka ta z sekundy na sekundę coraz bardziej wyłaniała się spod warstw sznurków, odsłaniając najpierw trupiobłądą skórę, a potem zarysy całego ciała, najpierw kończyn, potem tułowia, złudnie przypominającego kobiecą figurę. Blondyneczka zmrużyła oczy, a potem w ciepłym świetle płomieni dostrzegła włosy wplecione między nici. Ich kasztanowa barwa w półmroku nawet nie odznaczała się od czerwoności nittek. Dziwaczny kokon obrastał więc tę kobietę niczym pajęczę sidła robiły to ze swoimi ofiarami, tak przynajmniej zda-

wało się małej dziewczynce, której przypało dostrzec okrucieństwo świata, ukrytego przed wzrokiem dorosłych.

Sześciolatka myliła się jednak w swych ocenach. Zniewolona dziewczyna zaplątana w tę pajęczą sieć wcale nie była przypadkową zdobyczą. Można było ją raczej określić jako ofiarę własnego losu, bo to właśnie ta nieznajoma, rudowłosa kobieta była autorką pajęczyny, oddzielającej, niczym klosz, miasto od świata zewnętrznego. Hafciarka sama wpadła w swą pułapkę. I choć blondyneczka o tym nie wiedziała, zdarzyło się to wraz z wybuchem płomieni na wieży, którą tak bacznie obserwowali zgromadzeni. Bo to właśnie na tej wieżycze nieszczęśnica przędała owe nici niczym bohaterka słynnej bajki braci Grimm.

Poddasze kościoła, które dla niej było jedynie pracownią, nie miejscem świętym, stało się jej zaciszem. Pracowała tam całe dnie, produkując kolejne naręcza bordowych nici, które potem rozwieszała na ostro zakończonych wskazówkach zegara, choć przypadkowi przechodnie nigdy nie zauważali jej pracy, jakby ślepi na jej wysiłek. Miał on jednak swój cel, bo potem z zegara sznureczki te zabierała druga kobieta, nieco starsza od tej pierwszej, dojrzała w swej urodzie niż trzpiotka z wieży. To ona ciągnęła za sobą jeden z końców każdej z nitek i szukała dla nich miejsca w krajobrazie miasta. Chowala je pod dachówkami i ciężkimi, glinianymi donicami na parapetach, czasami przymocowywała do okiennic lub znajdowała oblużowaną cegłę fasady, która była w stanie taką nić utrzymać.

Druga z dziewcząt pracowała więc w pocie czoła dzień i noc, by potem kolejna, dojrzała, siwowłosa kobieta, niszczyła raz po raz jej pracę, przecinając srebrnymi nożycami co starsze lub bardziej zniszczone ze sznurków. Raz ucięte spadały na ziemię i znikwały w ulicznym popłochu, brudziły się od kurzu, zalegającego na chodnikach, a jesienią współgrały z różnobarwną scenerią na wpół uschniętych liści. Tak jakby najstarsza z nich uważała, że nie nadawały się już do niczego i tylko osłabiały pajęczynę, będącą tak naprawdę skomplikowaną makietą ludzkich losów.

A stwierdzenie to nie leżałoby pewnie daleko od prawdy, bowiem wszystkie kobiety te nie należały do świata ludzi zgromadzonych pod katedrą i obserwujących jej pożar. Były bowiem osobami, które dyktowały obserwującym ich żywoty. Świat znał je pod wieloma nazwami, zależnie od tego, w jakim miejscu i momen-

cie w historii się pojawiły. Starożytni Grecy tytułowali je mojrami, normami za to zwano je na odległej północy. Tu, w mieście nad Wartą, były rodzanicami, trzema siostrami, których historia sięgała nie tylko słowiańskich wierzeń, lecz nawet żywota pierwszego człowieka na Ziemi.

Bo to właśnie życie każdego z ludzi, bez względu na bieg historii i świątynie, które górują nad miasteczkiem w danej epoce, jest powodem ich istnienia. Mimo zapomnienia dawnych religii wciąż przędły swą nić, dając szansę na zaistnienie kolejnej z jednostek. I to one, ku własnej rozpacz, kończyły żywot innej, gdy jej nić, niczym łączniki ze światem zewnętrznym, zaczynała się niszczyć. Jeden błysk metalu, pisk nożyc i puf! Najstarsza z trzech siostr zniszczyła całą pracę swych młodszych siostrzyczek, które dzień w dzień tworzyły i roznosiły po świecie nowe, radosne nowiny.

Taka była ich praca, lecz i ona okazała się mieć swój koniec, gdyż tego pamiętnego lipcowego wieczoru najważniejsza z siostr nie zdołała uciec żywiołowi, trawiącemu poddasze gotyckiego kościoła. Katedra, choć wciąż stała dumnie na rynku mimo swych zniszczeń, stała się grobowcem dla wiary wyznawanej na tych terenach wiele wieków wcześniej.

I tak właśnie jeden błąd, być może ludzki, być może będącym kwestią czystego przypadku, doprowadził do przeraźliwej tragedii, która zabrała życie jednej z trzech siostr.

Wystarczyło to jednak do zaburzenia całego dotychczasowego porządku, który trwał w tym mieście przez stulecia. Bo śmierć jednej z siostr była nie tylko tragedią dla dwóch pozostałych, ale i odebrała im sens dalszej pracy, dalszego istnienia. Zabrakło im nowych nici do rozwieszania, zaczęły więc obawiać się ucinania tych starszych, z obawy przed pozbawieniem miasta jakichkolwiek mieszkańców.

W żałobie odeszły więc z miasteczka, pozostawiając za sobą zgłiszcza swej pracy, a także ludzkie losy splecione ze sobą tak chaotycznie. Z kręcącymi się w oczach łzami odeszły gdzieś w kierunku przedmieść, by w końcu opuścić tę miejscowość, pozabawiając ją jakiegokolwiek opieki, jakby w zemście za utratę swej najmłodszej siostrzyczki, która straciła w niej życie.

Tak oto to urokliwe miasto nad Wartą stało się jedynym miejscem na Ziemi, w którym od wielu lat nie narodziło się żadne dziecko, przynosząc tym samym rozpacz wielu parom, tęskniącym za urokami macierzyństwa. Dawało to jednak nadzieję wielu starym i schorowanym, którzy mimo śmiertelnych chorób czy upływu lat wciąż mogli cieszyć się swoim życiem z bliskimi. Dla jednych sytuacja ta była cudem, dla innych anomalią, dla wszystkich jednak była ewenementem na skalę światową.

Jednakże tamten lipcowy wieczór dla młodej dziewczynki nie miał wydzźwięku przełomowego wydarzenia. Był jedynie dniem, w którym zrozumiała, że dorośli mieli jedną cechę, której nigdy nie chciała nabyć. Patrzyli, choć nie chcieli widzieć tego, co mieli przed własnymi oczami. A może raczej nie dbali o to, co powinno wzbudzić ich troskę i współczucie. Dlatego stali na tym wybrukowanym placu i tylko zadzierali do góry głowy z tym pustym otępieniem w oczach, jakby nie chcieli dostrzec tragedii bóstwa, które pewnego dnia przywołało ich do życia swą ciężką pracą.

Joanna Łebkowska - absolwentka jednego z gorzowskich liceów, studentka prawa. Miłośniczka fantastyki od początku swojej przygody z czytelnictwem, a także pisarka-amatorka, publikująca w Internecie od blisko siedmiu lat. Autorka tekstów prozatorskich, inspirowanych powieściami z gatunku fantasy, dystopii, postapokalipsy i horroru.

Inszallach

- Szykuje się robota.

Mońka wzdrygnęła się, wybudzona z leniwej popołudniowej drzemki. Uniosła wzrok zza ciemnych okularów, wpatrując się z zaciekawieniem w stojącego naprzeciw przybysza, który rzucił na jej kolana gazetę.

- Zasłaniasz mi słońce - mruknęła z niezadowolaniem, przeciągając się jak kot na ogrodowym leżaku. - Zresztą nie mogę teraz zajmować się niczym nowym. Zapomniałeś, że sam

zarezerwowałeś mi lot do Florencji?

Tak niewiele brakowało do upragnionego urlopu. Nieważne, że miał być połączony z pracą, czekała na wyjazd z Polski od miesiący, a zmiany krajobrazu i ludzi łaknęła bardziej niż czegokolwiek innego ostatnimi czasy. Włoskie wino, poranki z kawą i tamtejsze kobiety brzmiały jak idealny plan.

- To sprawa niecierpiąca zwłoki, a wojaże mogą poczekać - warknął wysoki jego-



Mural wykonany przez **Krzysztofa Ostrowskiego** oraz **Rafała Żuka**, tworzących gorzowską grupę artystyczną ARToteka. Jest to kolejne malowidło, zrealizowane w ramach tworzonego przez nich projektu #FILARYSZTUKI, znajdującego się, jak nazwa wskazuje, na filarach Mostu Lubuskiego, tuż za willą Hermana Pauscscha, lepiej znaną jako była siedziba Grodzkiego Domu Kultury. Obraz przedstawia dobrze znaną po-

stać Ambrożego Kleksa, zagraną przez Piotra Fronczewskiego, będącego dla średniego i starszego pokolenia tą jedynie słuszną jego wersją. Cała kompozycja, zarówno kolorystycznie jak i w kwestii doboru tła (iluzja przekłamująca „równość” kwadratów w szachownicy), ma na celu podkreślać abstrakcyjność i bajkowość postaci.

mość. Mimo pierwszych upalnych dni lata był ubrany w ciemny garnitur, a na jego twarzy nie widniała ani jedna kropla potu. Mońka porównywała swojego przełożonego do bryły lodu. Albo marmuru.

- Jesteś nominowana do zajęcia się tą sprawą. Zresztą to twój teren.

Kobieta westchnęła. Chociaż jej bezpośredni szef, *monsieur A.*, jak kazał się nazywać, był niewątpliwym dupkiem, nie chciała przeciągać struny. Chwyliła leżącą na kolanach gazetę. Miała dość instynktu samozachowawczego, żeby nie doprowadzać mężczyzny do furii. Okazało się, że *monsieur K.* rzucił w nią nie jednym czasopiśmie, ale zszytymi ze sobą pierwszymi stronami kilku brukowców i wydrukowanych artykułów z lokalnych portali społecznościowych.

„Tydzień rozpacz i nadziei. Zaginięcie radnego”

„Samobójstwo gorzowskiego lekarza”

„Tragiczne fatum prześladowe dawny Landsberg”

„Kto stoi za tajemniczymi zniknięciami?”

Mońka przeczytała nagłówki ze zmarszczonymi brwiami i odrzuciła na bok ciemne okulary.

- Co to, do diabła, jest?! - przrzuciła strony jedna za drugą - Czemu to dopiero teraz wyciekło?

Mężczyzna wbił w nią wyczekując wzrok.

- Gdybyśmy wiedzieli, nie byłoby mnie tutaj - odpowiedział i usiadł na sąsiednim leżaku, zakładając nogę na nogę. - To twoje zadanie, żeby się dowiedzieć i zrobić z tym porządek - poprawił okulary w drucianej oprawce.

Mońka dobrze wiedziała, że ten bydlak wcale ich nie potrzebuje.

- Góra uważa, że to może mieć związek z twoją działką. Zresztą to praca, nagród i pochwał nie będzie - dodał krótko, uważając najwidoczniej, że rozmowa została zakończona.

Pomimo tego, że na dworze było około dwudziestu pięciu stopni, Mońkę przeszedł dreszcz. Ilekroć przebywała dłużej z *monsieur K.*, jej ciało ogarniało zimno, jakby ktoś zanurzył ją w balii z lodowatą wodą.

- Jasne, zajmę się tym - powiedziała mniej buntowniczo.

Jej gość z ukontentowaniem na twarzy wstał, poprawiając nienagannie wyprasowaną marynarkę.

- Masz kilka dni na dyskretne rozwiązanie tej sprawy. Zanim wycieknie dalej - odparł cicho, ale Mońka słyszała każde wycedzone sło-

wo dokładnie - Nie nawal, nikt nie chce ciebie sklejać jak przed osiemdziesięciu laty - burknął. - Nie ma też środków na czyszczenie pamięci każdej z zaginionych osób, a jest ich raptem około trzydziestu.

Mońka poczuła przyływ wściekłości, ale zdołała zdławić opryskliwą odpowiedź. Wypuszczenie *Wunderwaffe* w dolnośląskie lasy przez nazistowskie niedobitki nie było jej winą.

- Nie byłoby łatwiej dobić tych, co będą pamiętać i wiedzieć za dużo? - wyrwało się jej podszyte ironią pytanie. Od razu pożałowała, widząc zimny wzrok mężczyzny. Koło ucha usłyszała szelest i syk, gdy mężczyzna zacisnął chude palce na jej szyi, dociskając do leżaka tak łatwo, jakby była szmacianą lalką.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz i jak wielkim zagrożeniem są spuszczeni ze smyczy ludzie - zacisnął palce mocniej tak, że Mońka nie mogła zaczerpnąć tchu. Będąc tak blisko przełożonego poczuła zapach kwiatów i czegoś, co przypominało popsute mięso. Skrzywiła się. - Sama zresztą wiesz, że i pewnych demonów nie można puścić na dwór bez kagańca - poluzował uścisk, otrząpał się i wyciągnął z kieszeni staromodny zegarek na złotym łańcuszku - Masz trzy dni, moja droga - maniery dziewiętnastowiecznego dżentelmena wróciły na swoje miejsce.

Mońka opadła z powrotem na leżak, ciężko dysząc. Ten gość był parszywym dupkiem, jednak potrafił to doskonale chować za maską kurtuazji. I choć kobieta nie bała się prawie niczego, to gniew jednego z Trzech Głównych Deniołów sprawiał, że potulniała jak baranek.

- A, jeszcze jedno - powiedziała mężczyzna, odwracając się do starającej się uspokoić kobiety. - Pamiętaj, by nie odsłaniać swoich *pięknych* oczu.

Zasada była prosta, dowiadywała się, co było przyczyną dziwnych zjawisk, likwidowała nienaturalny obiekt i mogła przez jakiś czas cieszyć się udawaną wolnością. Bez informatorów nie byłoby to jednak takie łatwe. I szybkie. Z tego właśnie powodu, gdy wchodziła do budynku miejskiej komendy policji przy ulicy Wyszyńskiego, przystroiliła się w najbardziej czarujący uśmiech. I naładowaną broń schowaną pod cienką czarną sukienką.

- Masz tylko tyle? - sposępniała, przeglądając akta ostatniej zaginionej osoby. Siedziała w gabinecie starszej aspirant Żukowskiej, gdy ta, w pełnym umundurowaniu, gapiała się na nią cięłym wzrokiem zza drugiej strony biurka.

Młoda kobieta skinęła głową.

- Zeznania świadków wskazują na to, że każda z zaginionych osób tuż przed zniknięciem odwiedziła galerię w MOS – postukała w ostatnią trzymaną przez Mońkę teczkę długim, pomalowanym na czerwono paznokciem.

Mońka nawet nie próbowała się zastanawiać, czy taki manicure był dozwolony na służbie, jednak widziała kiedyś, jak sprawnie aspirant Żukowska posługuje się bronią, mimo tych strasznych hybryd.

- No, każdy chciał obejrzeć tę głośną wystawę z Turcji – dodała bez entuzjazmu kobieta, ziewając.

Mońka przekrzywiła głowę, słuchając uważnie młodej kobiety.

- Wystawę?

Żukowska potaknęła.

- No, przyjechała z tego miasta, co w 2023 roku doznało trzęsienia ziemi... Gaziantep czy jakoś tak – blondynka wyszukała szybko nazwę miejscowości w przeglądarce w telefonie.

Towarzyszka policjantki się zamyśliła. Coś się jej tutaj nie kleiło.

- Trochę daleki kurs zrobiły te obrazy, żeby dojechać do małego prowincjonalnego miasta w Polsce.

Młoda policjantka wzruszyła jedynie ramionami.

- Autor chce pozostać anonimowy. Jego obrazy mają zrobić tournée po całej Europie, a każde kolejne miasto jest wybierane drogą losowania.

„Nic nie dzieje się przypadkiem i przez losowanie” – pomyślała ponuro Mońka, zakładając za ucho przeszkadzające jej pasemko rudych włosów.

- Każdy zaginiony lub ten, którego ciało odnaleziono – wskazała na akta spraw – był poniekąd związany z tą wystawą. Radny Strojnowski był na jej otwarciu. Właścicielka kawiarni z centrum przyszła wraz z partnerem i niedługo potem ślad po nich zaginął.

Poczuła, że ze zniecierpliwienia dręczy ją gład niktynowy i zaczęła pocierać nerwowo palcami.

- Nie ma opcji, żeby tu zapalić?

Aspirant tylko westchnęła.

- Nawet jeśli ja przymknę oko, to alarm przeciwpożarowy już nie – zerknęła z wyraźną nadzieją na zegarek na ścianie. – Ale... Chyba komendant już poszedł do domu, więc gdybyśmy wyszły na tyły budynku...

Mońka przewróciła oczami. XXI wiek i jego

zasady! Kiedyś nikomu nie przeszkadzała odrobina dymu w pomieszczeniu, a dzisiaj ludzie zrobili się tacy *delikatni*.

- Ale to mi coś przypomniało – Żukowska zatopiła się we własnych myślach, niezrażona brakiem reakcji u Mońki. – Niektóre osoby mówią o niepokojących zmianach. W życiu ich lub bliskich, którzy pracowali przy tej wystawie.

- Co masz na myśli?

Nie mogąc już dłużej wysiedzieć na służbowym fotelu Żukowskiej, Mońka wstała i uchyliła okno. Była podirytowana faktem, że do współpracy wybrała najmniej rozgarniętą policjantkę w historii ostatniego dziesięciolecia.

- No... – blondynka się zająknęła. – Nikt tego nie spisywał, bo to głupoty. Gość, obsługujący salę kinową, zaczął biegać w maratonach, a wcześniej był typowym kanapowcem – zaczęła wyliczać. – Bolesławski, jeden z kuratorów wystawy, rzucił kochankę i wrócił z podkulonym ogonem do żony. A każdy wie, jakim był psem na baby – spojrzała znów tęsknie na Mońkę, co zniecierpliwilo ją jeszcze bardziej. – A pani Przybysz, co pomagała wieszac obrazy, ni stąd ni zowąd rzuciła palenie. A jarała chyba ponad czterdzieści lat bez przerwy. – Słuchaj, może miałabyś ochotę wyjść dzisiaj ze mną na kolację? Kończę pracę za godzinę – zmieniła nagle temat i Mońka poczuła, że nie wyciągnie z kobiety już niczego na temat wystawy.

- Muszę coś sprawdzić, Aga – wstała i skierowała się w kierunku drzwi wyjściowych. – Odezwę się do ciebie następnym razem – rzuciła na odchodne, nawet nie patrząc na zawiedzioną policjantkę.

Nic jej nie będzie. Jak zwykle.

Z obrazami w Miejskim Ośrodku Sztuki było coś zdecydowanie nie tak. Musiała sprawdzić jak najszybciej, co.

- Dzień dobry, nazywam się inspektor Wojdyło, proszę mnie przepuścić i nie przeszkadzać sobie w pracy – pokazała zdziwionej kobiecie w portierni odznakę, która na potrzeby śledztwa *magicznie* przybrała kształt odznaki gorzowskiej policji. – Muszę zbadać kilka rzeczy w galerii.

Kupiła sobie w automacie najłodszą możliwą kawę i wkroczyła do sali, gdzie znajdowały się obrazy. Ignorując karcące spojrzenie pracownika galerii, rozsiała się z napojem na ławce pod ścianą. Facet niech się wypcha, deficyt kofeinowy to poważna sprawa.

W pomieszczeniu nie znajdowało się zbyt wiele osób. Sztuka nie była czymś, co poruszałyby serca i umysły większości pragmatycznych gorzowian. „A szkoda” – pomyślała Mońka, oglądając wiszące na ścianach obrazy. Każdy z nich był utrzymany w ciemnej, burej kolorystyce, ale to, co zwracało uwagę, to ich wielkość i dziwaczność namalowanych kształtów. Na płótnach nie było ludzi, ale humanoidalne kształty. Budynki były powykrzywiane, a kontury lekko zamazane, jakby całość spowijała mgła. Mońka pomyślała o obrazach Beksińskiego, których niepokojąca, ale magnetyczna aura była podobna do tych przed nią.

Pozornie nic złego się nie działo. Obserwowała salę i ludzi w niej przez kolejne trzy godziny, starając się być niewidoczną. Nie zaobserwowała ani jednego dziwnego zjawiska, świadczącego o obecności ducha, demona lub innego nadprzyrodzonego bytu. Żadnego migotania światła ani drżenia ścian. Ludzie w galerii byli, owszem, nieco zaniepokojeni podczas oglądania obrazów, ale nie dziwiło jej to. Przystawali nieco dłużej przed każdym płótnem, zwłaszcza przed największym z nich – *Wieżą Babel*. Wpatrywali się w nie przez chwilę, po czym otrząsali się niczym z transu i wracali w ciszy do własnych żyć, zostawiając refleksje i ciężką atmosferę w małej sali.

Po jakimś czasie portierka poinformowała ją, że idzie do domu, a obiekt zostanie zamknięty od zewnątrz. Zapytała czy na pewno, na Boga, kobieta chce zostać w budynku, czy to śledztwo jest takie ważne i czy nie zgłodnieje przez te kilka kolejnych godzin. Mońka miała ochotę coś odwarknąć starszej kobiecie, jednak grzecznie przekonała ją o konieczności pozostania w miejscu. Portierka westchnęła, życząc jej dobrej nocy, i zostawiła Mońkę samą w cichym, przygaszonym świetle.

– Nie poddam się tak łatwo i cię rozgryzę, łajdaku – mruknęła, wstając i przeciągając się przed jednym z obrazów. Ściągnęła z oczu ciemne okulary, a jej źrenice, wrażliwe naienne światło, rozszerzyły się czujnie. Nie potrzebowała elektryczności, żeby widzieć wszystko z doskonałą jakością, każdy detal pomieszczenia i obrazu przed nią. Przeciągnęła palcem po chropowatym płótnie. Miała wrażenie, że gruba warstwa farby oddycha i żyje. I że się jej boi. Miała przynajmniej taką nadzieję. Wróciła na ławkę z kolejną porcją słodkiej kawy i nie spuszczała wzroku z obrazu. Nie potrzebowała snu od wielu, wielu lat. A jednak jej oczy się zamknęły. Obudziły ją dźwięki

wyłowionej z wody ryby. Dusila się i trzepotała płetwami o dno statku, walcząc o życie. Nie, to nie była ryba. Mońka zamrugła parę razy. Cholera jasna, musiała stracić przytomność lub *coś* ją jej pozbawiło. Spojrzała na salę i zamarała. Przez małe okienka przy suficie wpadały pierwsze promienie poranka. Pod obrazem stał mężczyzna odpowiedzialny na sprzątanie budynku, co oceniła po leżącym obok wózku ze środkami czystości. Starszy jegomość dusił się, wyciągając ręce w kierunku obrazu.

– Zostaw go! – Mońka wstała gwałtownie, jednym ruchem ręki odsuwając wózek na bok niewidzialną siłą. Mężczyzna zakwilił przerażony, jednak udało się mu normalnie nabrać powietrza w płuca i...zemdlął ze strachu, opadając na posadzkę. Powoli traciła cierpliwość. Czymkolwiek *to* było, bawiło się jej kosztem.

– Rozkazuję ci się ujawnić, ale już! – warknęła. – Zostaw w spokoju ludzi i powiedz, czego chcesz! Karmisz się duszami? Ich łękiem? – jej głos odbijał się echem od ścian.

Odpowiedziała jej cisza. Gdyby miała możliwość, założyłaby się, że płótno przed nią *zamarkło* i przestało *oddychać*. Mońka jednak miała na tyle wyostrzony słuch, że z dołu obrazu usłyszała ledwie słyszalny szept. Bardzo, bardzo cichy. Przeklinając w duchu wcześniejszy brak spostrzegawczości, przeciągnęła ostro zakończonym paznokciem po dole płótna, które ustąpiło tak łatwo, jakby było wykonane z cienkiego papieru. Oczom Mońki ukazała się złożona kilkakrotnie połówka kartka.

– Arabska kłątwa? – mruknęła, wyciągając z podobrazia wymiętolony arkusz pokryty gąsienicami czarnego tuszu. – Bliskowschodni dżinnie, komu służysz? – pstryknęła palcami, a zza jej paznokci, ubrudzonych farbą z płótna, pojawiły się małe iskry gotowe wskrzesić ogień. – Pozwolisz, że policzę do trzech. A potem sfajczysz się do cna – iskry się powiększyły. – Raz – obraz zadrzał – dwa – przeciągała celowo sylaby. – Sam tego chcesz. – zbliżyła iskry do kartki. Przerwał jej męski, piskliwy krzyk.

– Nie rób tego! Stop! *Astaghfirullah!* – wrzask zmaterializował się do postaci wysokiego, ciemnoskórego mężczyzny, stojącego obok – inaczej cała praca pójdzie na marne!

Mońka odwróciła się w kierunku źródła głosu. Mężczyzna nie przypominał mieszkańca Piekła, jedyne, co go odróżniało od zwykłego człowieka to tęczęwki oczu w kolorze pustynnego piasku. Złota. Oczy podobne do jej oczu.

– Ale wy macie odjebanie z tymi garnitura-

mi, byleby się upodobnić do ludzi – spojrzęła na lniany kostium dzinna. – Spodziewałam się raczej kogoś wyrwanego z „Baśni Tysiąca i Jednej Nocy” – zmierzyła wzrokiem mężczyźną.

– I wzajemnie, myślałam, że grozi mi ktoś groźniejszy od chudego kundla z Czyścica – odpowiedział jej z przekąsem dzinn. Mońka nie mogła powstrzymać cichego chichotu, piskliwy głos kompletnie nie pasował do jego potężnej sylwetki. Jednak w momencie, gdy podniósł na nią swój żółty, węzowy wzrok, spoważniała.

Chciała mieć tę sprawę już dawno za sobą. I zaszyć się w swoim małym santockim domu; nie musi wcale jechać do tych Włoch, wystarczy jej butelka dobrego alkoholu w ogrodzie i nieco spokoju.

– Co chce osiągnąć twój pan? – przeszła do konkretów. W dłoniach dalej miętała kłutwę, spisana na papierze, wyrwana z Koranu wersety napisane wspak.

Demon skrzywił się, jakby papier był jego drugą skórą.

– Wątpię, by Obca to zrozumiała – łypnął podejrzliwie na Mońkę. – To sprawa wiary i misji, jaką ze sobą niesie...

Mońka przewróciła oczami.

– Nie wątpię. Jaka to misja? Zmuszanie ludzi do tego, czego nie chcą? Czy może masowa akcja rzucania nałogów? – skrzywiła się. Dookoła dzinna unosił się dziwny zapach, przypominający niedogaszone ognisko.

– Chronimy tylko biednych śmiertelników przed ich ostatecznym przeznaczeniem – odpowiedział poważnie mężczyzna. – Mój Pan wie, że nadchodzi Koniec Ery Ludzi. Chcemy nawrócić te kruche istoty na ścieżkę prawości i czystości! – dodał z niezdrowym podekscytowaniem.

„To brzmi jak kolejna sekta” – pomyślała ze zrezygnowaniem kobieta.

– Wierzmy, że los ludzi nie został do końca przesądzony – kontynuował dzinn, niezrażony miną rozmówczyni. – Ale jeśli ludzie będą dalej tonęli w grzechu – dziwny błysk pojawił się w jego oczach – to wszystkich czeka anihilacja. Unicestwienie. Najwyższy jest niezadowolony i uważa ludzi za nieudany eksperyment – położył otwartą dłoń na przeciętym płótnie.

Mońka prychnęła.

– A kto ci to wszystko opowiedział, Bóg? Widziałeś go kiedyś w ogóle, skoro jesteś tak przekonany, że tak go interesuje los ludzkości? – podniosła głos. – Odbieranie ludziom

wolnej woli jest według twojego pana najlepszym rozwiązaniem? A jeśli jakiś człowiek się nie podda twoim machinacjom to, puff – wskazała więź namalowaną na obrazie. Wydawało jej się, że w jej oknach przemknęło kilka osób – zsyłasz na nich szaleństwo? Lub wysyłasz na obóz resocjalizacyjny do tych bohomazów?

Dzinn wzruszył ramionami. W bładym świetle poranka jego skóra była matowa, jakby była wykuta z kamienia.

– Niebiosa dały ludziom szansę, żeby się ukorzyć i żałować za grzechy... Niektórzy to zaakceptowali, inni dalej walczą.

– Chyba zapomniałeś, że według większości religii Bóg dał ludziom wolną wolę. Zamieniając ich w bezmyślnych zombiaków sprzeciwiasz się jego zamiarom – wytknęła mężczyźnie jego własne słowa.

Dzinn spojrzął na nią zimno.

– Zaplanował też ludziom inne zakończenie. Moim zadaniem jest go dopilnować.

No tak, dzinn też nie posiada do końca własnej woli, jest ona zlaną z wolą jego właściciela, nawet jeśli ten byłby największym głupkiem na świecie.

– Obawiam się, że będziesz musiał przekazać swojemu sekciarskiemu panu, że misja w Polsce się nie udała. Może kontynuować ją w innym miejscu, nie wiem, może w Rosji lub w Gazie? Tam, gdzie się bardziej przyda – kącik ust Mońki drgał nerwowo. Miała dość tej jałowej dyskusji. Pstryknęła palcami drugi raz. Trzymany przez nią zwitek papieru zajął się ogniem. Spodziewała się ze strony dzina głośnych protestów, jednak ten spojrzął na nią smutno.

– Skoro takie ma być moje przeznaczenie, to pokornie je przyjmę – pochylił głowę i zamknął oczy, gdy płomienie powoli obejmowały i jego ciało. Po kilkunastu sekundach przypominał płonąca pochodnię. Na ten widok Mońka odwróciła wzrok. Ciężko jej zbyt wiele wspomnień.

Gdy dzinn spalał się w ciszy, bez słowa, Mońka wyciągnęła klucz z kieszeni nieprzytomnego woźnego i wyszła z budynku. Poranek był miły, rześki i zapowiadał całkiem przyjemny dzień. Usiadła na ławce przy głównym wejściu i wyciągnęła z kieszeni papierosa. Paliła go powoli, z przyjemnością, zastanawiając się nad słowami demona. Czy ludzie rzeczywiście są bliżej końca niż początku? Wzdrygnęła się, czując, że o jej nogi ociera się gruby, rudy kot. Powstrzymała się przed kompulsywnym odru-

chem pogłaskania futrzaka.

- Te kocury są wiecznie głodne, prawda? - obok Mońki na ławce przysiadła około sześćdziesięcioletnia kobieta. - Czasami je dokarmiam, czy doglądam różnych wystaw - nieznaną wyrzucała z siebie kolejne słowa z prędkością światła. - Widziałam, że pali pani papierosa - zmieniła temat. - Wie pani, palę od 45 lat i ostatnio jakieś dziwne głosy... kazały mi jakby przestać palić - roześmiała się. - Wiem, że to brzmi absurdalnie, jakbym zwariowała, ale naprawdę tak było! Jakby coś mnie opętało. Bałam się, że to oznaka choroby i teraz to tylko początek końca - dodała na jednym wydechu. - Ale jak zobaczyłam panią, to poczułam, że znowu mam ochotę palić i to chyba cudowne ozdrowienie!

- Mhm... - Mońka dogasiła papierosa obcasem buta, mając ochotę ewakuować się jak najprędzej od tej zbyt rozmownej kobiety.

Nieznaną spojrzała na nią wymownie. Mońka westchnęła, wyciągając z kieszeni drugie Marlboro i podając towarzysze.

- Dziękuję pani bardzo za pomoc. Wiem, że to niezdrowy nałóg, ale każdy ma jakieś małe słabości - kontynuowała, ale Mońki już obok nie było. - To dziwne - powiedziała w pustą przestrzeń obok. - Pewnie zamęczyłam ją swoim gadaniem.

Tego samego dnia gorzowska policja miała ręce pełne roboty. Wszystkie zaginione osoby przebudziły się w sali galerii Miejskiego Ośrodka Sztuki brudne i wychudzone. Niepamiętające niczego sprzed czasu swojego zaginię-

cia. Co dziwne, wszystkie obrazy na ścianach zostały doszczętnie spalone, ale uszkodzeniu nie uległ żaden przedmiot, znajdujący się w pomieszczeniu. Pierwszym krokiem policji było przesłuchanie woźnego, oskarżonego o zniszczenie cennej kolekcji, ale rana na jego głowie stanowiła wystarczający dowód na to, że sam został zaatakowany. Niewiele pamiętał, ale w wywiadzie udzielonym na żywo miejskiej telewizji powiedział, że to „rudowłosa Madonna” uratowała go przed porwaniem przez samego Szatana. Po tych słowach odesłano go na pilną konsultację do poradni na Walczaka.

I choć sprawcy nie odnaleziono, sprawa dziwnych zaginięć w końcu ucichła. A każdy związany ze sprawą wrócił do swoich nawyków, lepszych lub gorszych, decydując o własnym losie samodzielnie.

Anna. P. Szarejko została wżeniona w Gorzów Wlkp. osiem lat temu, gdy tuż po studiach rozpoczęła pracę w jednej z gorzowskich aptek. Po godzinach zajmuje się półzawodowo psychologią, książkami i długimi jazdami na rowerze po okolicznych lasach. Literaturę zapija tylko czarną kawą, a gdy może, podróżuje, gdzie i ile wlezie, zwłaszcza ku dalekowschodnim kierunkom. Miłośniczka Anne Rice, Victorii Schwab i Neila Gaimana, których twórczość może odtwarzać raz po razie. Uwielbia pisać nie tylko opowiadania czy wiersze, ale też fanfiki, które są jej guilty pleasure od wieku nastoletniego.

The end is near

- 457 dolarów.

- Ile?! Czy oni oszaleli?

- Co ty chcesz? Zombie teraz dobrze stoją.

Mareczek miał tego dnia dobry humor. Trudno mu się dziwić. Jego inwestycja wreszcie zaczęła się zwracać, chociaż na początku tak mocno wątpił w swój sukces.

To wszystko przez Aneczkę, jego dziewczynę. Gdy tylko akcje na zombiaki spadały sporadycznie o kilka punktów procentowych, ta z uporem maniaka przypominała mu, jakim trzeba być debilem, by zatapiać pieniądze w hazard w tak niepewnych czasach. I to jeszcze gdzie? Na apce *The end is near*. Ja pierdołę. Gdybym sam wpadł na tak szalony pomysł jak ten wariat z Seulu, który wymyślił aplikację do obstawiania najbardziej prawdopodobnego końca świata, jaki czeka wkrótce ludzkość,

dzisiaj nie cisnąłbym się z moją przygłuchą matką w kawalerce na czwartym piętrze w starym wieżowcu z popsutą windą. Kapałbym się w złocie i diamentach, a do jacuzzi modelki przynosiłyby mi drinki. O tak! Niestety, ale urodziłem się tutaj, na patologicznym osiedlu w centrum miasta, z ilorazem inteligencji poniżej przeciętnej do tego stopnia, że nie skończyłem nawet zawodówki, a od czternastego roku życia siedziała mi na głowie kuratorka. Jak wielkim trzeba było być przegrywem, spytałby kto? Nie miałem pracy, dziewczyny ani perspektyw na życie. Może dlatego zadawałem się z Markiem? Był w końcu takim samym przygłupem jak ja, ale w łapie miał 50 centymetrów i na dzielni nikt mu nie podskoczył.

- A ty co? Dalej przystajesz przy epidemii choroby zakaźnej? Kolejny Covid-19? Nudy!



Weronika Leszczyńska - pochodząca z Gorzowa Wielkopolskiego graficzka i ilustratorka. Ukończyła Uniwersytet SWPS na kierunku gra-

fika. W swoich pracach inspirowała się przyrodą, mitologią oraz literaturą.

– Mareczek dał mi z łokcia w bok, mrugając do mnie żartobliwie.

Siedzieliśmy na w połowie wylamanej ławce pod blokiem, między śmietnikiem a trzepakiem, jak co dzień, nie mając nic specjalnego do roboty oprócz wkurzania starszych nieróbstwem i rzucania kamykami w bezpieczne koty. Mój wzrok tylko czasami, właściwie coraz rzadziej, uciekał w stronę okna w sąsiednim bloku, z którego w dawnych czasach machała do mnie Renata z tym swoim szerokim uśmiechem na twarzy. Momentalnie zrobiło mi się ciepło w środku i to nie od bigosu, który odgrzała mi matka na obiad. Potem jednak chwycił mnie znów ten dziwny żal. Smutek. Poczucie, że te czasy już nie wrócą. Ona była teraz daleko, robiła karierę w wielkiej metropolii setki kilometrów stąd. I miała nowego gacha, z którym przyjeżdżała tu tylko w święta nowym mercem, by odwiedzić rodziców, a przy okazji pokuć nas w oczy lepszym życiem.

– Stary, daj się ponieść fantazji. Patrz! – Mareczek podłożył mi pod nos swojego starego iPhone'a i czytał kolejne pozycje z aplikacji. – Broń jądrowa. Kosmici. Roboty. Od wyboru do koloru. – Lista robiła imponujące, a zarazem przerażające wrażenie. – Ja to ostatnio przypatruję się *Bestii z Kioto*. Japończycy dwa dni temu zapowiedzieli, że są w fazie testów z ich laboratoryjnie wyhodowanym potworem, którego siła rażenia miała zmieść połowę Chin z mapy świata i to w rekordowym czasie poniżej trzech minut. Robi wrażenie!

– Aneczka serio nie żartowała z twoją obsesją – skomentowałem sceptycznie.

– No co? Trzeba mieć jakąś rozrywkę w tym życiu – odparł z przekąsem. – Zwłaszcza, że odliczanie już powoli dobiega końca.

– Ale tak na serio? Koniec świata? – pokręciłem głową z niedowierzaniem. – A co, jeśli oni to zrobią? Co, jeśli rozpierdolą w mak pół świata, żebyś ty mógł zarobić 200 złotych?

– 200 złotych? Dobrze sobie! – Mareczka szczerze uraziła ta uwaga. – Ja tu mam wpakowane pół spadku po śmierci babci i alimenty po starym. Wszystkie oszczędności, jakie mam, ładuję w te zombie, bo...bo czuję, że wygrają! – mówił z przekonaniem. – A ja mam do tego nosa.

– Nosa? – wywróciłem oczami. Chyba z nim nie wytrzymam. – Aneczka wspominała ostatnio, że zastawiłeś też mieszkanie matki. Mieszkanie, które przepisała w tamtym roku na ciebie i w którym, przypominam, mieszkasz ty, twoja siostra z małym dzieckiem, matka oraz babcia. Czy ty w ogóle pojmujesz, że jeśli zombie

nie wygrają w tym durnym konkursie, stracisz wszystko i pójdziesz pod most, ciągnąc za sobą całą rodzinę?

– Może – moje słowa nie zrobiły na nim większego wrażenia. Pewnie podobną gadkę słyszał już od Aneczki i to nieraz. – Ale jeśli wygram, kupię sobie willę z basenem w luksusowej dzielnicy miasta. I nie wiem, czy cię zaproszę, skoro tak samo jak inni we mnie wątpisz.

– Tak? Lepiej szykuj sobie karton i to z grubej tektury. Może chociaż on ochroni cię przed deszczem, tak jak nikt nie jest w stanie ostrzec cię przed twoją własną głupotą.

– Leon, przynieś mi herbaty z kuchni! – wydarła się matka na cały głos, chociaż siedziałem obok niej na skrzypiącym tapczanie i aż wystraszony odskoczyłem w miejscu.

– Już idę. Nie drzyj się tak! – odparłem wkurzony.

Wstałem ociężale z miejsca i udałem się bez marudzenia do kuchni, człapiąc gumowymi laczkami o wytarte panele w jodełkę, których nikt nie wymieniał od bodajże połowy wieku. Dwa kroki za salonem już słyszałem, że matka podgłośniła odbiornik. Zaraz sąsiad z góry zacznie walić w rury, że hałasujemy. Włączyłem czajnik i czekałem aż woda się zagotuje. Wyjąłem piwo z lodówki, otworzyłem butelkę i upiłem solidny łyk.

„Zostało już tylko siedem godzin do rozwiązania! The end is near! Kto zwycięży w starciu niszczycieli świata?”. W telewizji znowu puszczały tę reklamę dobrze znanej mi aplikacji. Spojrzałem na pęknięty ekran telefonu, który od rana wibrował jak oszalały od powiadomień. Wszystkie portale internetowe na całym świecie rozpisywały się o „niebezpiecznej zabawie ludzkości w Boga” i tragicznych w skutkach konsekwencjach, jakie nas czekają, jeśli nikt nie powstrzyma prezesa spółki Ravel, pana Park Seo-joona, odpowiedzialnego za powstanie aplikacji. W niektórych artykułach wprost nazywano go szaleńcem, potworem, a nawet „Niszczycielem Ziemi”, a ludzi przestrzegano przed korzystaniem z „dzieła Szatana”. Inni natomiast chcieli być cwani i zarobić na ludzkiej głupocie. Moją tablicę na Facebooku zalały setki scamów od inwestycyjnych guru, którzy chcieli pomóc mi szybko zarobić pod hasłem „Kryzys to okazja! Nie bądź ostatnim człowiekiem na świecie, który jeszcze się nie wzbogacił”.

Zajrzałem do skrzynki mailowej. To już mie-

siąc, jak nie otrzymałem żadnych wieści z pośredniaka. Wziąłem drugie piwo z lodówki. Martwiłem się. Jak tak dalej pójdzie, to zabraknie nam środków do życia. Z renty matki i tak już ledwo starczało na rachunki, a przecież zapowiadali znowu podwyżki prądu od przyszłego miesiąca. Woda w czajniku zaczęła się gotować, lecz do mnie nie docierał wcale ten dźwięk. Moje spojrzenie zastygło natomiast na ekranie telewizora w dużym pokoju.

„Zapomnijcie o przełomie wieku! O 2012 roku, przepowiedniach Nostradamusa i kalendarzu Majów! Prawdziwy koniec świata jest dzisiaj! Czy jesteście na to gotowi?” – krzyczał z przekonaniem Jack Choris w odbiorniku.

Obserwowałem muskularnego mężczyznę, występującego w reklamie, z wyrazistą szczęką, rzędem białych zębów i błyskiem w oku. Wtedy pewna myśl przyszła mi do głowy. Bo... właściwie powinien cieszyć mnie koniec świata. W absurdalny sposób on rozwiązałby wszystkie moje problemy.

„Już teraz wybierz zwycięzcę! Wejdź na aplikację *The End is Near* i zagłosuj na swojego faworyta!”. Mój telefon zawibrował w ręce. Pisał Mareczek: „Dawaj, Leo. Idziemy do Bajki. Ojczulek organizuje wieczór z transmisją na żywo z Seulu. Zombiaki górą!”. Dopilem piwo jednym potężnym łykiem. Wyłączyłem kuchenkę i zalałem matce herbatę. Zaniósłem jej kubek do pokoju i zostawiłem na stole obok jej fotela. Matka spała. Pewnie tego nawet nie wypije. I przegapi odcinek swojej ulubionej telenoweli. Westchnąłem ciężko, chwytając za pilot i przyciszając telewizor. W przedpokoju założyłem znoszone trampki i kurtkę z ortalionu. Wyszedłem z domu, chowając w kieszeni składany nóż.

W osiedlowym barze Bajka zastaliśmy istne tłumy, jakby co najmniej grali dzisiaj mecz Polska–Niemcy. Stary Mariusz, którego nazywaliśmy Ojczulkiem (bo znał nas wszystkich od małego lepiej niż nasi własni ojcowie), miał dzisiaj ręce pełne roboty. Podeszliśmy do baru, gdzie urobiona po pachy Aneczka, jego córka, obsłużyła nas w pierwszej kolejności. W innym przypadku nie byłbym pewien, czy napiłbym się piwa jeszcze przed tą całą zagładą ludzkości.

– Jak te twoje zombiaki dzisiaj nie wygra, to lepiej nie pokazuj się mojemu staremu na oczy. – Dziewczyna obdarzyła wyjątkowo groźnym spojrzeniem swojego faceta, stawiając przed nami dwa litrowe kufle piwa. – Mówię

poważnie.

– Wiem, wiem. Ty zawsze mówisz poważnie – bąknął Mareczek, na parę chwil odrywając wzrok od ekranu telefonu. – Lepiej powiedz teściowi, że nie ma się o co martwić. Spójrz tylko na nasze notowania – wskazał na wyświetlane wyniki na osiemdziesięciocalowym telewizorze, wiszącym na ścianie obok baru, w którego Ojczulek zainwestował po ostatnim mundialu. Zombiaki były na czele od dobrych trzech dni, tak jak przewidział kumpel. – Zobaczysz, piękna, ta fortuna jest już nasza.

– Już żałuję, że pożyczyłam ci trzydzieści kafli swoich ciężko zarobionych oszczędności – odparła Aneczka widocznie zła, po czym zajęła się obsługą reszty klientów.

Anka głośno tego nie mówiła, ale jej stary też zatopił hajs w aplikacji. Na przekór niedoszłemu zięciowi postawił na broń biologiczną *Wybór Seri*, która na tle konkurencji wyróżniała się lawendowym brandingiem i olbrzymią kampanią marketingową, obejmującą pięć kontynentów. Ojczulek uważał, że skoro za powstaniem aplikacji stali Koreańczycy, to również oni zapewne wygrają. Miały o tym świadczyć ich notowania, które przodowały w ostatnich tygodniach konkursu, plasując koreański koniec świata w pierwszej piątce faworytów.

Anka jeszcze o jednej rzeczy nie wspomniała głośno. Ojczulek zastawił całą Bajkę, łącznie z nowym telewizorem.

– Czyli co? – zagaitem do kolegi. – Nawet ją obskubałeś z kasy?

– ZOMBIE SĄ NUMEREM JEDEN! – wkurzył się Marek, waląc pięścią w dębowy blat baru. – Lepiej zacznij się zastanawiać, na co wydasz swoją część fortuny, jaką za chwilę zarobię.

Spojrzałem na niego z ukosa.

– No, co? Rano tylko żartowałem z tym, że nic ci nie dam. Oczywiście oddałbym ci sporą sumkę. Jesteś moim najlepszym kumpem! Pomógłbym ci wyrwać się z tego padołu, tak samo jak ty pomógłbyś mi, gdybyś sam wygrał. Może nawet wyślesz matkę do zakładu? Myślałeś o tym?

– Nie.

– To lepiej zacznij. Zacznij marzyć, bracie!

Aneczka przysłuchiwała się jego wywodowi zza lady. Pokręciła głową z dezaprobatą, przypominając, że czekało nas jeszcze pół godziny do rozstrzygnięcia finału i wszystko mogło się w każdej chwili obrócić na jego niekorzyść. Wtedy drzwi do baru otworzyły się głośno, a do środka wszedł Baryła ze swoją ekipą. Nasz największy wróg. Aż włosy zjeżyły mi się mo-

mentalnie na karku na sam jego parszywy widok. Krępy mężczyzna już od progu rozpychał się łokciami na boki, oznajmiając wszystkim wokół, że dzisiejszej nocy zostanie milionerem.

- Pff, ty? - Mareczek wstał ze stołka z groźną miną, gdy tylko Baryła zbliżył się do baru. - Obstawieś na meteoryt z kosmosu, cymbale! Gdyby dzisiejszej nocy miało do tego dojść, to chyba widzielibyśmy zbliżający się kamolec kosmicznej skały już na niebie, pędzący z zawrotną prędkością w naszą stronę!

- A ty myślisz, że amerykańscy naukowcy tego nie wymyślili? NASA? Mówi ci to coś?

On chyba nie mówił poważnie? Od tygodni trąbiono w każdej stacji telewizyjnej i radiowej, że żadna rządowa agencja, międzynarodowa organizacja czy gospodarczo-polityczny związek państw nie poprze działań korporacji Ravel, a wręcz zrobi wszystko, co w ich mocy, by nie dopuścić do realizacji makabrycznych zakładów. Co innego władza konkretnych krajów. Taka Rosja, o! Albo Chiny! Podobno w ramach rządowych projektów realizowano niektóre badania, w tym obstawioną przeze mnie chorobę zakaźną, niefortunnie nazwaną Covid-2, którą przeprowadzić miało chińskie laboratorium w Wuhan. Więc co Baryła wyjeżdża teraz z takimi głupotami wyssanymi z palca?!

- NASA? Trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! - Marek kiwnął na mnie, gotując się do bitki.

Dopiłem piwo, zakasałem rękawy i wstałem z barowego stołka, kierując się zważym krokiem w kierunku Baryły, z groźną miną wymalowaną na twarzy. To nie byłaby nasza pierwsza bójka. Nawet nie pierwsza w tym barze. Praktycznie laliśmy się do krwi, gdy tylko nadarzyła się okazja. To była jedna z lepszych rozrywek na osiedlu. Już unosiłem pięści na wysokość głowy, gdy podbiegła do nas Aneczka ze szmatą w ręce i zdzieliła naszą trójkę solidnie po łbach.

- Rozejść mi się i to migiem! - krzyczała.

- Weź opanuj tę swoją babę - bąknął Baryła, kierując te słowa do Mareczka.

- BABE?! Ja ci dam! - A to tylko rozwścieczyło bardziej Ankę.

Wtedy na ekranie telewizora pojawił się komunikat w sprawie konkursu. Nasza mała awantura musiała poczekać. Wszyscy w barze wstali z miejsca i podeszli bliżej. Dołączyliśmy do zainteresowanego tłumu. Przedstawiono właśnie wstępne podsumowanie wyników. Notowania liderów szły w górę, szczególnie po krótkim wystąpieniu amerykańskiego bada-

cza George'a Havena, który zaprezentował walkę dwóch zombiaków, przeprowadzoną w laboratoryjnych warunkach. Badania Havena, którym najbardziej na świecie kibicował Mareczek, sponsorowane były przez prywatny sektor, a dokładnie przez miliarderów ze wschodniego wybrzeża USA. Z początku naukowiec zadeklarował, że swoją epidemię przeprowadzi daleko na północy Alaski, niwelując ewentualne zagrożenia, wynikające z wypuszczenia zarażonych na wolność, lecz klóciło się to z fundamentalną wizją końca świata. Za sprawą wpływów bogatych inwestorów, scenariusz „The Walking Dead” przeniesiono do centralnej części kraju, w głąb kontynentu, gdzie zamierzono przeprowadzić eksperyment na terenie najuboższych miast i wsi wybranych stanów oraz blisko granicy z Meksykiem. Taki dramatyczny obrót sprawy interpretowano „potrzebą powrotu do czystości i bogactwa narodu amerykańskiego”. W skrócie chcieli pozbyć się biednych i imigrantów, na których zwalali winę wysokiej przestępczości i niskiego PKB w ostatnich latach. Ostatecznie wirus miał zostać rozprzestrzeniony najpierw w obu Amerykach, a później w Europie i Australii. Z przyczyn politycznych głośno nie wspomniano o Azji.

Autentycznie pierwszy raz w życiu widziałem wypieki na twarzy Mareczka, który oglądał zzieleniałe gęby mutantów na ekranie jak złote lambo pod centrum handlowym. Mnie w tej całej sytuacji cieszył najbardziej fakt, że ewentualna zagłada nie czekałaby nas w pierwszej kolejności, o czym nie można było powiedzieć w przypadku innych propozycji w konkursie. Oddech śmierci odczuwaliśmy na karku szczególnie ze wschodu Europy. Rosja na nowo zagroziła reszcie świata wojną atomową i co więcej ich projekt „1962” został bez obaw zaakceptowany przez organizatorów zawodów. Wielu ekspertów wypowiadało się w tej sprawie i zwykle mieli jedno do powiedzenia. Władze kraju nie mogły sobie wyobrazić lepszej okazji do wykorzystania swojej broni jądrowej niż *The End is Near*. Chyba nie było nawet jednego człowieka w tym barze, który zagłosowałby na rosyjski pomysł, a mimo to ich projekt zachował się w czołówce faworytów, najwyraźniej przypadając do gustu reszcie świata.

Wracając do programu w telewizji, wkrótce rozpoczęły się pierwsze eliminacje. Z walki o najwyższą stawkę jako pierwszy odpadł, ku zdziwieniu jedynie Baryły, meteoryt z kosmosu. No, kto by się spodziewał?

- Oszuści! Zapchleni oszuści! - krzyczał

Baryła na całe pomieszczenie, po czym zabrał się za przeliczanie drobnych w portfelu. Po chwili, zdenerwowany, kazał jednemu ze swoich przydupasów postawić sobie kolejną piwa, na co kurdupel zgodził się dość niechętnie.

Niestety, niedługo później mój Covid-2 także odpadł z notowań. Myślałem, że sankcje gospodarcze nie zrobią na Chinach większego wrażenia. I właściwie nie pomyliłem się, bo powód eliminacji epidemii groźnego wirusa był inny. Dzisiejszej nocy ktoś zwyczajnie podpalił budynek laboratorium w Wuhan. Niby efekty badań całkiem nie przypadły, ale pożar znacząco opóźnił cały projekt, co zniechęciło inwestorów. Na ekranie oglądaliśmy migawki z pracy straży pożarnej.

- Szlag by to trafił! - przekląłem wzburzony. - To były moje ostatnie oszczędności!

Byłem załamany. Przepadło! Wszystko przepadło! Potem jednak rozejrzałem się po całym obskurnym wnętrzu baru i pojąłem, że... nie tylko ja miałem wszystko do stracenia. Praktycznie każdy z tutaj obecnych zastawił majątek swój lub rodziny, byleby nie przepuścić okazji do łatwego zarobku. Niektórzy już teraz wraz ze mną załamywali ręce. „No to cała nadzieja leży w Marcyczku” - pomyślałem, ciężko wdychając.

- Chłopie, obyś miał rację z tymi zombiakami - położyłem mu po bratersku rękę na ramieniu. - Bo jeśli tak, to ustawisz nas do końca życia.

Kumpel kiwnął tylko głową ze zdeterminowaną miną, jakby mógł cokolwiek zrobić, by przybliżyć nam fortunę. Nie mógł. Pozostało nam jedynie mieć nadzieję, że uda nam się wykaraskać z tego gówna i jeszcze wyjść na plus. Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się dwudziesta. Atmosfera nadchodzącego finału była gorąca niczym w kotłującym się garze na pełnym ogniu. Każdy z niecierpliwością oczekiwał wyników. Blisko godziny zero na ekranie telewizora pojawiła się dziennikarka PolTV Dominika Drawoła, zapowiadając „ostatnie wiadomości w dziejach świata”. Atrakcyjna kobieta w bluzeczce z dekoltem kilkoma słowami wstępu zapowiedziała materiał, dotyczący protestów na całym świecie przeciwko Ravel. Pokazano urywki z Nowego Jorku, Tokio, Londynu, Madrytu i kilku innych miast, w tym z Warszawy, gdzie ludzie z ogromnymi transparentami i z megafonami w rękach nawoływali do odwołania całego eventu. Na banerach widzieliśmy napisy: „Won z Ravel!”, „Dziś NIE będzie końca

świata”, czy też „Wyprowadzam się na Marsa”, „To nie rozrywka, to nasze życie. Nasza Ziemia! Sprowadzacie na nas zagładę ku uciesze korporacji!” - wołała jedna kobieta z desperacją w głosie do kamery.

- Pierdolenie! Głupia baba nic nie obstawiła, a teraz pretensje ma, że się dobrze bawimy - skomentował jeden podstarzały klient, z którym zgodzili się jednomyślnie i gromko faceci w całym barze.

Zapowiedziano także, że w dwudziestu siedmiu krajach zablokowano przez władze krajów dostęp do aplikacji *The End is Near*. W Polsce jednak, jak wypowiedział się jeden polityk z partii rządzącej „nie zamierzano ograniczać wolności obywateli”. Po wiadomościach od razu odpalono transmisję z Korei Południowej, a na ekranie zobaczyliśmy prezesa spółki Ravel, pana Park Seo-joona.

- Aniu, daj mi jeszcze jedno piwo - poprosiłem ładnie koleżankę, gdy na moment oderwała wzrok od swojego faceta, szukającego guza na środku sali. Usłyszałem krzyk i odwróciłem się, by zobaczyć, jak jeden z gości przewracał krzesło porządnie wkurzony. Chwyliłem moją szklankę mocniej, gotowy na kolejną bójkę.

Prezes na ekranie zaczął coś mówić po ichniemu, a po chwili usłyszeliśmy polskie tłumaczenie. Dowiedzieliśmy się, że czekało nas finałowe, huczne odliczanie. Na ekranie pojawił się wielki zegar, odmierzający sześćdziesiąt sekund.

- Leo, zaraz będziemy bogaci! ZARAZ BĘDZIEMY BOGACI! - krzyczał Marcyczek rozgorączkowany, szarpiąc mnie za bluzę.

Notowania zmieniały się praktycznie co sekundę. Spadały i rosły. Rosły i spadały. Do ostatniej chwili nikt nie miał pewności, kto zwycięży.

- Nie, nie, nie! - Marek wrzeszczał załamany do ekranu. - Moje zombiaki! Tylko nie to! - A już po chwili wołał:

- Tak! Dawajcie! Do góry! Musimy wygrać!

W tamtym momencie nic więcej nie miało znaczenia. Ludzie tracili w ułamku sekundy swoje zainwestowane pieniądze, lamentując nad telefonami albo skakali z radości, bo przed nimi otwierały się drzwi do świetlanej przyszłości, która wciąż była niepewna. Zresztą jakiej przyszłości? Koniec był blisko. Wtedy ktoś rzucił wściekle szklanką, rozbijając ją w drobny mak o ścianę. Normalnie Aneczka czy nawet Ojczulek zareagowałiby na to głośnym upomnieniem, ale chyba nawet oni, zwykle twardo stojący na nogach, nie mogli oderwać wzroku

od telefonów w swoich rękach.

– Szybko, szybko! Może jeszcze zdążę kupić zwycięski kupon. – Jakiś facet obok ewidentnie dawał ponieść się szaleństwu chwili. Kolejna osoba rozbiła telefon o ziemię, wrzeszcząc wściekle. Ktoś zaczął głośno się awanturować. Ktoś inny popchnął drugiego. Ludzie zaczęli się szamotać po całym lokalu. W przeciągu minuty wpadli w prawdziwy amok i zaczęli się tłuc po gębach. Po prostu oszaleli.

Nie stałem biernie z boku. Wyjąłem z kieszeni swój nóż. Nie byłem zresztą jedynym, który sięgnął po prowizoryczną broń. Gdy w zasięgu mojego wzroku pojawił się Baryła, naskoczyłem na niego pierwszy i zaatakowałem go, zatapiając ostrze w jego prawym barku. Krew polała się na brudne deski baru. Na ekranie telewizora pojawiały się kolejne cyfry:

10... 9... 8...

Serce biło mi szybko, a nabuzowane adrenaliną ciało reagowało instynktownie na kolejne ciosy. W jednej chwili rozpętało się piekło. Wszędzie słychać było krzyki i szarpnięcia. Praliliśmy się do krwi, do utraty przytomności, nie czekając aż śmierć nas sama dopadnie.

4... 3... 2...

Leżałem w kałuży krwi na brudnych deskach baru, oszołomiony potężnym ciosem, jaki zadał mi jeden z gości od Baryły. Nie miałem sił. Czulem pulsowanie na mojej opuchniętej twarzy, a także świeże rany i siniaki na całym ciele. Przymknąłem powieki, wsłuchując się w kakofonię wrzasków, pisków, lamentów nad moją głową. Na ekranie telewizora dostrzegłem ostatnią cyfrę.

1...

A wraz z nią nadszedł koniec świata.

Starsza kobieta rozejrzała się dookoła po wnętrzu ponurego mieszkania, nie do końca pewna, gdzie się znajdowała. Zorientowała się dopiero po chwili, że leżała w swoim wytartym fotelu w salonie.

– Leon! Leon! Gdzie ta herbata? – pani Lidia rozglądała się po pokoju zdezorientowana.

Zmarszczyła czoło, koncentrując wzrok na stojącym przed nią kubku na stoliku. Miała herbatę na wyciągnięcie ręki. Wzięła naczynie drżącą ręką i upiła łyk, krzywiąc się od razu niezadowolona.

– Leon! Leon! Ta herbata jest zimna! – Nikt jej jednak nie odpowiedział. Staruszka nasunęła okulary z grubymi szklami na nos, w poszukiwaniu rozmazanej sylwetki syna w ich ponurym salonie, lecz nikogo nie dostrzegła.

– Gdzie, do diaska, podział się ten chłopak? – rzuciła rozgniewana. Wtedy dostrzegła dziwny pył oraz błyski światła za szybami okien. Zaniepokojona podniosła się z fotela i udała się wolno w kierunku okna, by sprawdzić, co dzieło się na zewnątrz. Odsłoniła zakurzoną firankę, marszcząc czoło. Tam gdzie zwykle miała wzrokiem rząd wieżowców, teraz rozciągał się przerażający widok kłębiącego się czarnego dymu nad stosem gruzu. Miasto zostało zrównane z ziemią. Niebo nasycali złowieszczo światła, skąpane w czerwieniach i fioletach. Coś w oddali wybuchło, aż podłoga zadrzała pod jej stopami. Tymczasem pani Lidia wzruszyła tylko ramionami, po czym wolno wróciła na swoje miejsce w wytartym fotelu. Przykryła się kocem i odpaliła swój ulubiony, brazylijski serial w telewizorze. Dzisiaj Juan miał wyznaczyć miłość Monice. Kobieta jak zahipnotyzowana śledziła perypetie bohaterów, tylko co jakiś czas zerkając na wiszącą na ścianie obok zegar.

Arleta Hanusek - początkująca autorka z Zielonej Góry, przygotowująca się do literackiego debiutu. Swoją przygodę z pisaniem rozpoczęła w wieku 11 lat, a od 2020 roku publikuje na Wattpadzie powieść fantasy YA z elementami horroru. Tworzy książkowe treści na TikToku i Instagramie, inspirując innych czytelników oraz pisarzy. Jej ulubione klimaty to horrory, fantasy, postapo i science fiction, a szczególną miłością pała do motywów związanych z magicznymi mocami.

(Nie)magiczny tarot

Dawno, dawno temu był sobie Głupiec, który stał na progu nowej drogi. Pozornie nic o sobie, ani o tym, co go czeka nie wiedział, lecz pasja i optymizm pchały go naprzód. Z każdym krokiem Głupiec odkrywał swoje talen-

ty i przekonania. W końcu zbudował relacje, znalazł nauczyciela, poznał smak miłości. Niekiedy zapominał, że jest Głupcem i przyjmował nowe imiona. Wtedy doświadczał, upadał i się podnosił. Wygrywał, przegrywał. I zatrzymywał się,



Anna Kowala Nadolna - urodzona w 1954 roku w Gorzowie Wlkp., nauczycielka plastyki, której to zawód uprawiała do czasu odejścia na emeryturę. Dwadzieścia jeden lat pracowała w Szkole Podstawowej nr 2, przemianowanej później na Gimnazjum nr 9, oraz siedem lat w

Młodzieżowym Domu Kultury. Od 1996 roku związana z Nauczycielską Grupą Plastyczną Wena. Obecnie uczęszcza na zajęcia sekcji plastycznej i fotograficznej na Uniwersytecie Trzeciego Wieku.



by to wszystko w sobie zintegrować i zastanowić się, czy droga, którą podąża, jest tą właściwą. Lub czy idzie w dobrym rytmie.

Zastanawiasz się może, jak kończy się ta historia? Otóż ta historia nigdy nie ma końca, ponieważ historia Głupca mówi o każdym z nas. O Tobie również. Mówi o życiu, które trwa. Nosi tytuł „Podróż Głupca” i znaleźć ją możesz wypisaną na kartach tarota.

Tarot jest jedną z tych rzeczy, które doczekały się wielu mitów, przekonań czy przesądów na swój temat. Powiada się, że przynosi pecha, jest narzędziem złych mocy lub narzędziem magicznym, ponieważ pracując z nim można zagłębić się w podświadomość swoją lub cudzą, zbadać karmę, przewidzieć przyszłość, stwierdzić schematy działania lub popracować nad samorozwojem.

A tarot jest po prostu talią kart, którą zdobiją obrazki. Jej magia opiera się na zasadach fizyki, które ciężko nam objąć rozumem. Jeszcze. Ale po kolei.

Tarot składa się z 78 kart, które dzielą się na Arkana Wielkie (22 karty) i Arkana Małe (56 kart). Każdą kartę ilustruje obraz wypełniony symbolami. To właśnie indywidualna znajomość znaczeń owych symboli, kolorów, historii, wrażeń z danej karty stanowi bazę do porozumiewania się nimi. Krótko mówiąc, korzystając ze swojej intuicji, tarocista wyciąga pozornie przypadkowe karty i,

opierając się na symbolice, odpowiada na zadane pytanie. Wchodząc w temat głębiej, trzeba wziąć pod uwagę jeszcze pewną rzecz.

Otóż, podczas odczytu, wyłącznie za zgodą klienta, tarocista wchodzi w pole energetyczne drugiego człowieka i szczytuje stamtąd informacje. Owa magia, o której wspomniałam wcześniej, to fakt, że wszystko jest energią: każda myśl, uczucie, tkanka, przedmiot, kolor, słowo. Wszystko wibruje i posiada swoje pole energetyczne, które jest nośnikiem informacji. To, czy możemy to dostrzec gołym okiem czy nie zależy od natężenia wibracji i szybkości ruchu. W końcu, kiedy koło samochodu obraca się bardzo szybko mamy wrażenie, że się nie rusza, prawda?

I dopiero łącząc właśnie te trzy rzeczy: znajomość symboli, zaufanie, że wszystko jest ze sobą połączone (owe „pozorne” wyciąganie kart) i odczyt z pola, możemy mówić o magii tarota. To właśnie dlatego odczyty mogą być tak trafne i wywoływać pytanie: „Skąd on to wiedział!?”. A kwestia pecha? Cóż, ponoć czarne koty i przejście pod drabiną też przynoszą pecha. A czterolistna koniczyna przynosi szczęście. Jeśli wierzymy w to, że tak jest, to tak będzie. Jeśli nie rozumiesz, o czym mówię, przypomnij sobie o efekcie placebo. I o tym, że prąd kiedyś również był kwestią magii.

Jedynym czynnikiem, który może sprawić, że tarot wyda się magiczny, straszny lub lekki jest tarocista, który się nim posługuje. To, jakim jest człowiekiem, przekłada się na to, w jaki sposób będzie obdarzał swoich klientów informacjami. Oczywiście, nie zawsze dosięgają nas same przyjemne zdarzenia. Często są to kłopoty i troski, jednak zawsze jest możliwość przekazania informacji w łagodny i taktowny sposób wraz z podaniem rozwiązania lub innej drogi, aby owych kłopotów uniknąć. Można również darować sobie naciąganie klientów na warte tysiące rytuały, odpędzające złe duchy. Bo okazać się może, że tym złym duchem jest po prostu przebodźcowanie. A w ramach rytuału, zupełnie za darmo, może być spacer po lesie.

Anna Kowalczewska jest urodzoną gorzowianką. Początkowo jej pasją było malowanie i pisanie (co zaowocowało m. in. powieścią fantasy „Technienie: Księgi Wybranych”), jednak z czasem odkryła w sobie zamiłowanie i talenty ezoteryczne. Ceni astrologię, ale większość swojej uwagi poświęca kwestiom tarota. W mediach społecznościowych dzieli się wiedzą na jego temat i zwraca uwagę na to, jak ważny jest kontakt z samym sobą.

Częstotliwość deszczy

Deszcze nie padały tak często jak zawsze. Ale to jeszcze nic nie znaczyło. To jest jak z literami, same z siebie nie znaczą nic, ale połączone – to już coś innego. Więc opady deszczu, nie tak częste jak kiedyś, to nic. To litera. Ale w połączeniu ze wszystkim innym, umiejętnie odczytane i zrozumiane, to już wiele. A może i wszystko.

I tyle mi wystarczyło. Czekam na tramwaj, na ten cud techniki. Ostateczne wcielenie koła, prądu i pary (moja para kończy lekcję za pół godziny i dlatego ja tu, w tym wszystkim). Moje myśli mają myśli. Część na gapę, część służbowo. Tramwaj jako model ludzkiego umysłu. Tak samo dobry jak każdy inny. A może i lepszy. Bo to wehikuł. Od pętli do pętli. Krążący w nieskończonym kołowym wcieleniu.

Pogoda za perymetrem wiaty przystankowej jest obiecująca. Wschodząca gwiazda. Czuć nastrój radosnego oczekiwania na rodzający się sukces. Czym ma być – wygraną w totka? Raczej nie, bo nie wysłałam. Nie lubiłam podatków. Ani tych prawdziwych, ani zmyślonych. Każde państwo jest koniec końców wcieleniem Lewiatana. A ja z potworów uznaję tylko wieloryba. Bo jest jak tramwaj. Dla Pinokia i Jonasa. A utożsamiam się przecież z obydwoma, więc gdy usłyszałam łomot nadjeżdżającego pojazdu, zareagowałam jak pies na dzwonek. Rzucam się na rowerzystę, toczę ślinę, zjadam listonosza. Dziś listów nie będzie. Wszystkie znaki poślinione. Biorę rozpęd i wskakuję szczupakiem w otwartą paszczę potwora komunikacji publicznej. Drzwi się zamykają. Bestia rusza.

Skasowałam bilet, dwa razy sprawdzając. Nie wierzę we własne szczęście. Pewnego razu, wiem o tym. Pewnego razu spojrzę na bilet, nie będzie na nim godziny, daty i danych pojazdu. Będą litery i słowa, wersy w alfabecie z miasta bogów. Którego zawczasu przezornie się nauczyłam. Tak przytargałam z biblioteki przedwojenny podręcznik do sanskrytu. Postawiłam wszystko na jedną kartę. Albo grubo albo wcale. I dla tej chwili, w jej uznaniu wszystko sprawdzam dwa razy. Kluczowy rytuał wedyjski upamiętniał coś, co było. Mój rytuał upamiętnia coś, co będzie. A robię to teraz, bo potem, potem już nie będzie czasu. Inne będą sprawy, inne obowiązki, gdy wskazówki staną.

Podjechałam pod jej liceum. Szkołę, do której chodziły pokolenia mojej rodziny, a do któ-

rej mnie przyjęto tylko, by mnie wyrzucić zrządzeniem losu. Stałam pod szkołą jak biblijny patriarcha, patrzący na krainę, do której nigdy nie będzie mu dane wejść. Eh. Nie ja pierwszy, nie ja ostatni. „Chociaż na kimś się to musi skończyć” - pomyślałam optymistycznie. Może więc będę to ja.

– Cześć! – usłyszałam jej głos, a potem zobaczyłam. Bo była jak błyskawica, ale na odwrót. Wpierw dźwięk, potem światło. Padłam rażony. Za to ją kochałam.

Była odwrotnością, żywym palindromem. Golem ulepił jej rodziców, oni wypowiedzieli słowo i oto była ona. Symetryczna w każdej osi.

Zaszła mnie od tyłu. Wylazła z mojej ślepej plamki jak z telewizora. Z kineskopu mojej wyobraźni. Moja Indianka. Och, sorry! Moja native tutejsza („my tutejsi, welcome on earth”). Ona tu była zawsze, a ja zaś przypląnałam tramwajem razem z pierwszym ludźmi. Odwróciłam się. Zmieniłam spin. Przerzuciłam żagiel i zręcznym manewrem chwyciłam ją w tali, mówiąc:

– Chodźmy na zakupy, mój tato ma w sobotę urodziny. Kupimy mu coś.

No tak. Liceum to nie przedszkole. Rękodzieło jest dobre w zerówce. W naszym wieku, bardzo poważnym, późno nastoletnim, trzeba zaakcentować materialną niezależność. Nic do tego nie nadaje się tak jak podarunek. Jak u dzikich. Podarunek znaczy wiele. A my dzicy. Dzikie dzieci. „Kocięta i szczenięta”.

Trzymając się za ręce przeszliśmy przez rzekę. Nie po moście. Chodzenie po mostach jest takie przyziemne, no nie? Mamy swoje drogi, drogi, z których się potem wyrasta i zapomina. Dlatego można bezpiecznie po nich chodzić. Tu i teraz. Są jednorazowe jak kody Enigmy.

W poszukiwaniu prezentu przeszliśmy galerie handlowe. Jak zawsze nie było w nich niczego. Pusta przestrzeń. Nie ma ludzi, nie ma dźwięków. Tylko ja i ona.

Pokręciliśmy się trochę po centrum, krainie aptek i bankowości. Kredytu przecież ojcu nie da. No tak. Mądra dziewczyna. Aż dwa razy sprawdziłam. Tak. Dziewczyna. W końcu, rozmawiając o niebie, zaszliśmy spacerem w wyżej położone uliczki naszego miasta. Kaskadowo ułożone dzielnice starych, często chyłających się ku upadkowi poniemieckich domów. Położone wśród dziwnych ogrodów w labiryncie ale-

jek i wiekowych drzew. Uwielbiam odnajdywać nieoczywiste przejścia i skróty. Wbrew geometrii euklidesowej pozwalają przejść od dawnych koszar do księgarni, w której się wychowałem. Jeszcze jeden dowód na to, że w szkole nie ucą nas tego, co najważniejsze. Tego, co przydaje się w życiu przez duże Ż. Tego, co pozwala trzymać fason w obliczu wielkiej tajemnicy.

Rozśmieszałem ją teraz, że niby jestem przewodnikiem z filmu „Stalker”. Odgrywałem scenki z retro filmów sci-fi udając, że mówię po rosyjsku (nigdy nie mówiłem, a teraz to już w ogóle). Trzymając się za ręce weszliśmy w uliczkę, której nie kojarzyłem. Ciągłe tu takie znajdowałem. Jak? Przypadkiem. A jakże inaczej. Pewnych rzeczy nie da się przecież odkryć inaczej.

Przeszliśmy przez podwórko, opuszczony ogród i stanęliśmy przed omszałą kamienną bramą. Takie budowano w tej epoce, gdy stylizowano architekturę na gotyk. Bardzo zręczna imitacja portalu z rycin różokrzyżowych. Widziałem takie w książkach ojca. Położyłem palec na ustach. Na głowę naciągnąłem kaptur. Zaśmiała się cicho. Rozumiała dowcipy. Skąd to wszystko wiedziała? Jak miała na imię? Sofia? Zofia. Ładnie.

Nacisnąłem kłamkę, by okazać męskość. Zobaczymy, jak daleko zdołamy pociągnąć ten dowcip. Gdzie nas to zaprowadzi. Drzwi się otworzyły i stanęliśmy w czymś, co mogło być sklepem albo warsztatem. Pracownią. Laboratorium.

Na początku był chaos. Zbiorowisko wszelkiej maści przedmiotów. Gdy próbowałem skupić wzrok na jakimś szczególe, oczy zaczynały lekko mrowić i rozpyływały się obrazy. Jak na jakimś dziwnym kursie czystego czytania. Widziałem jedynie całość, detal był niemożliwy. Istne muzeum techniki. Rupieciarnia albo pracownia mistrza magii. Hakera z włoskiego renesansu.

– Słucham państwa – powiedział Herr Hacker. Tak go nazwaliśmy w myślach jednocześnie, jednogłośnie. Ja i ona. Odwiecznym prawem zakochanych jednocześnie ścisnęliśmy swoje dłonie.

– Eee... witam... dzień dobry, szukamy prezentu dla taty – powiedziała. „Czyjego taty?” – pomyślałem. Nie byłem pewien. Jutro miało się coś wydarzyć. Po czym poznać, że się śni? No tak. W sumie racja. Było to absurdałne, ale zarazem prawdziwe. Jesteśmy tu służbowo. Mamy powód tu być. Ach, prawda. Najlepszy z możliwych światów.

– Oczywiście, szanowna młodzieży – rzekł swoim dziwnym głosem. Gdzieś słyszałem ten akcent. Ludzie tak dziś nie mówią. Brzmiał jak ze starego filmu. Dostojnie i elegancko. Jak aktor na scenie. Nasz język nie był chyba jego pierwszym językiem. Takie osoby mówią klarownie, ale czasem wtrąca coś zupełnie dziwnego, co burzy porządek świata. Jak lewitujące koty i gadające drzewa.

– Co tata szanowny lubi? Może zegarek? Strzał w dziesiątkę. Pomyślała, a ja tę myśl usłyszałem.

– Doskonale! – ucieszył się sprzedawca, nie czekając na naszą odpowiedź. Zniknął na zapleczu. Przez chwilę zostaliśmy sami. Z radyjka leciała muzyka. Sentymentalna piosenka w nieokreślonym języku (fińskim?). Pa-trzyłem z naturalną ciekawością na przedmioty zgromadzone na półkach. Wypchane zwierzęta, książki. Elementy maszyn parowych. Pióra i kartki, zabezpieczone czerwonymi lakowymi pieczęciami jak z filmów. „Jak z filmów” – pomyślałem raz jeszcze. Zawsze miałem pretensje do życia, że nie jest dostatecznie filmowe. Teraz poczułem, że może nie byłem sprawiedliwy.

Od moich rozmyślań uratował mnie sprzedawca. Wyłonił się zza kotary, oddzielającej pomieszczenia, trzymając w ręce zegarek. Elegancki, w stylu lat 30. Tak sobie wtedy ludzie musieli wyobrażać kosmos. To był czas wielkiego optymizmu, nienaruszonego jeszcze przykrymi wydarzeniami mającej nadejść wojny.

– To zegarek wykonany z Hermenium – kopta tytanowa, sprężyna z włosa człowieka lodu, przywiezionego przez instytut badania rasy z wyprawy antarktycznej.

– Poważnie? – spytałem. – Skąd pan to ma?

– Znalazłem w wielkiej piramidzie – odpowiedział sprzedawca i przez moment miał twarz przekornego ośmiolatka, gotowego opowiedzieć światu największą błągę. Roześmiał się:

– Nie, to powojenna kopia. Ale piękna. Żył kiedyś zegarmistrz w tym mieście. Wyzwoliciele pozwolili mu prowadzić dalej zakład. Potrafił naprawiać mechanizmy, z którymi nie szło sobie poradzić sierpem i młotem. Miał... bardziej precyzyjne, hermetyczne narzędzia. Tak to nazwijmy. Tworzył takie cudenka. Czasem cały sekret leży w byciu we właściwym miejscu o właściwym czasie. To cacko z pewnością przysłuży się twojemu ojcu. Jest taki moment w ludzkim życiu, gdy trzeba zacząć brać czas na poważnie.

Czasomierz był naprawdę ładny. Do tego to był taki prezent, jaki zawsze chciałem ojcu

sprawić. To nie skarpetki ani przypadkowa książka z top 10 popularnej księgarni. To fragment historii z receptą na przyszłość.

Po ustaleniu ceny i sfinalizowaniu transakcji zostaliśmy pouczeni o zaletach i komplikacjach mechanizmu. Obsługa tej miniaturowej maszyneryi wymagała wprawy mistrza magii, ale tykanie, dochodzące zza opalizującego szkieleka, zdawało się obiecywać zadośćuczynienie za wszelkie trudy.

Wysliśmy trzymając elegancko zapakowany podarunek. Błądząc tak jak wtedy, odnaleźliśmy drogę do znanych nam głównych ulic. Ze starych wzgórz zesliśmy do normalnej części miasta, gdzie jeździł tramwaj. Na przystanku czekała już moja ulubiona „trójka”. Nie chcieliśmy na nią biec, więc szliśmy spokojnie, upajając się młodzieńczą bez troską. Pojedziemy następnym tramwajem. Co za problem. W kieszeni trzymałem prezent, zadowolony z obrotu spraw.

Starzec z Wyspowego

Powiadają, że ludzie muszą mieć jakiegoś wroga. Bo wspólny wróg jednoczy ludzi. Bo też wrogowie sprawiają kłopoty, a jak mówił pewien wagabunda: *Życie w odróżnieniu od śmierci jest pasmem kłopotów. Wiesz, co znaczy żyć? Popuszczać pasa i szukać guza. Mówiąc krócej, bez wrogów jest nudno. Chyba te wszystkie gadania Rada Miejska Landsberga wzięła sobie do serca, bowiem gdy Margrabia Brandenburski zajął Santok, mieszczenie zaraz zaczęli knuć przeciw sobie nawzajem, skoro główny rywal miasta był w garści ich suwerena. A prześcigali się w tym knuciu jeden przez drugiego, który to przypilnuje jakich podatków i sobie z tego potrafi, a który to teraz zorganizuje jarmark czy inne dożynki i temu podobne sprawy. Zmęczony był pacyfikowaniem radnych pan Albert de Luge – założyciel i burmistrz miasta. Coraz częściej więc (pomimo niemłodego już wieku) siodłał konia, skrzykiwał giermków i przybocznych, by inspekcje po Nowej Marchii zrobić z dala od tych spraw miejskich. Podczas tych objazdów dużo nasłuchiwał się po karczmach i od sołtysów, co to się w okolicy nie dzieje. Historii dziwnych było co niemiara, podobnie jak skarg i zażaleń na tego i owego. Ale dla staro rycerza miła to była odmiana od potyczek między rajcami, więc słuchał, a w czym mógł pomóc, to pomagał, a w czym nie mógł pomóc, to mówił, że zobaczy, co da się zrobić.*

Tramwaj nie odjeżdżał, jakby czekał na nas. Wszliśmy do wagonu i wtedy jakby ożył. Drzwi zamknęły się za nami jak w starym filmie. Usiedliśmy przy oknie na naszych ulubionych siedzeniach. Z dźwięków tła wyłowilem strzępki rozmowy dwóch pasażerów:

– Proszę pana, kto to widział! Tak czekać na przystanku. Przecież ludziom dziś się spieszy.

– A to pan nie wie? Motorniczy musiał czekać. Synchronizacja zegarów.

Krzysztof Poradziński - zawodowo na co dzień kapłan Merkurego w obrządku własnym, wspomagany komputerowo. Mieszka w superpozycji między Gorzowem Wlkp. a Krakowem. Szczególnie zainteresowany kwestiami myślenia symbolicznego, filozofii historii i matematyki. Po godzinach uprawia speedrunning gorzowskich bibliotek.

Pewnego razu usłyszał od chłopów o jeziorze w głębi lasu, zwanym Wyspowym, bowiem na samym jego środku znajdował się kawałek ziemi. Rósł tam stary dąb, otoczony młodszymi drzewami, rozłożył się bardzo, w którego korzeniach pustelnię sobie urządził pewien mędrzec. Jedni mówili, że to święty mąż, a inni, że czarownik paskudny. Ale i jedni i drudzy chodzili do niego po radę, odczynianie uroków czy wróżby lub o jakie leczenie, gdy miejscowy znachor mógł co najwyżej rozłożyć ręce w niemocy. Jednak wyprawa do pustelni niebezpieczna była, ścieżki zarośnięte, a i mówiono o wszelkich lichach i potworach czyhających na życie prostych ludzi. Słyszając to pan de Luge zaciekawiał się wielce i postanowił samemu też mędrca odwiedzić, choć nie miał żadnej sprawy, którą by mu mógł przedstawić. Choć, gdyby okazał się jakimś czarownikiem czy poganinem, to by się nim odpowiednio zajął i przyczynił do ogólnej poprawy porządku w Nowej Marchii. Wziął więc pan de Luge giermków, podarek dla mędrca w postaci gąsiora dobrego trunku i ruszył przez puszcę w poszukiwaniu jeziora z wyspą. Wyprawa poprzez las do łatwych nie należała. Korony drzew były tak gęste, że ledwie słońce było przez nie widać. Za trakt mieli jeno ścieżki bardziej przez zwierzęta wydeptane niż przez ludzi. Konie nerwowe były, jakby wyczuwały, że w tej dzikiej krainie cokolwiek udomowione

nie jest mile widziane. Ludzie także po pewnym czasie zaczęli tracić rezon, z nadmierną podejrzliwością wpatrując się w każde mijane drzewo, rów czy pagórek, jakby jakie niebezpieczeństwo się za nimi czaiło. I pewnie by zawrócili, gdyby nie de Luge, stary rycerz, który parł naprzód, niewzruszony tymi wszystkimi przeciwnościami losu.

Wyspowe przywitało ich zniechęca, gęste zarośla, przez które przebiegała się ścieżka momentalnie się kończyły, odsłaniając skraj jeziora, nad którego taflą unosiła się mgła pomimo popołudnia i letniego dnia. Dzika plaża była dość duża, by cała drużyna mogła zsiąść, odpocząć i napić konie. Popas trwał chwilę, a że podróżni czujni byli, to wypatrzili pośród mgły kształt, niechybnie wyspę, której szukali. Zobaczyli też pośród trzcin porastających brzeg dębana z pnia łódkę z wiosłem. Była niewielka, ot zaledwie jedną osobę mogła pomieścić. De Luge kazał czekać swoim ludziom i wszedł do dębana wraz z podarkiem dla pustelnika. Nikt nie kwestionował jego rozkazu, lecz dziwili się z brawury niemłodego rycerza. Odprowadzili go wzrokiem, kiedy wiosłując oddalał się od brzegu, stając się powoli niewyraźnym konturem, który rozpląnął się na tle majaczącej we mgle wyspy.

Rycerz działał jak najszybciej, popędzany przez sentyment za przygodami z młodzieńczych lat, ale i też przez świadomość, że i jemu odwaga wyczerpie się, jeżeli nie będzie działał. Zdał sobie z tego sprawę, gdy był już w połowie drogi, ale za późno było, by zawrócić. Teraz coraz wyraźniej rozróżniał pojedyncze drzewa, okalające kręgiem wielki dąb, wyrastający na samym środku wysepki. Ta była płaska, niewiele wystająca nad poziom wody i zarośnięta chaszczami. Coś mu nie pasowało w tej roślinności, a nawet samej ziemi, jakby cały układ tej wysepki był sprzeczny z tym, czego powinien się spodziewać po tego typu miejscu

- Ach!... Albert de Luge - rozległ się głos spod samego dębu. - Witam w moich skromnych progach. Z jakiego powodu człek takiego formatu zaszczyca mnie swą obecnością?

Chwilę musiał burmistrz wpatrywać się, by dostrzec między roślinnością, któż to do niego przemówił. Rzeczywiście, między korzeniami wiekowego drzewa, na gołej ziemi, siedział starzec, cały odziany w stare łańchmany i skóry. Miał krzaczastą siwą brodę tak bujną, że można by się w niej zgubić, solidnie opaloną, ale wcale niepomarszczoną zbyt skórę i intensywnie zielone oczy. Albertowi aż dreszcz przeszedł

po plecach, gdy w nie spojrział. Jakby patrzył w oczy czegoś, a nie kogoś. W dłoniach trzymał miskę i moździerzem rozcierał jakieś zielsko na papkę. Rycerz jedynie delikatnie skinął głową w geście szacunku należnemu gospodarzowi. Przybił łódkę do brzegu i zszedł ostrożnie na brzeg. Ziemia była miękka i w całości najwyraźniej trzymały ją tylko korzenie roślin. Po wolnym krokiem zbliżył się do starca.

- Bądźcie pozdrowieni, starcze. Skąd wiecie kim jestem? Nie spotkaliśmy się wcześniej - rzekł.

Ten nie przestawał wpatrywać się w Alberta. Nie mrugnął nawet okiem.

- Las mi powiedział - uśmiechnął się szeroko, a widząc zmieszanie na twarzy gościa, roześmiał się. - Och... ludzie dużo gadają. Mówią dużo więcej niż powinni i dużo więcej niż chciałbym słyszeć. Ale skoro gadają, to słucham. I was też wysłucham, a co mi tam. Proszę, siadnijcie sobie, gdzie wam wygodnie.

- Jak was zwą? - zapytał Albert, siadając na najwyższym wystającym korzeniu.

- Hmm... Ostrowit - odpowiedział starzec. - Albo dziad z wyspy. Czasem inaczej, jak myśla, że nie słyszę - tu znów się uśmiechnął. - Wiecie... woda niesie głosy. Usłyszałem o was, Ostrowicie, sporo dobrych rzeczy. Że służycie radą i pomocą potrzebującym. Chciałem przeto was zobaczyć na własne oczy, poznać i porozmawiać - powiedział, sięgając po gąsior, który przywiózł ze sobą i podał go. - Proszę, podarek dla gospodarza.

- Cóż za miła odmiana! - zawołał starzec, przyjmując prezent. - Zwykle goście przywożą mi swoje zmartwienia, a tu proszę, ktoś chciał po prostu porozmawiać ze starym o tym i owym.

- A dużo wam tych zmartwień przynoszą? - rycerz spokojnym krokiem podszedł pod sam dąb i usiadł na jednym z korzeni.

- Dużo, bardzo dużo... Mieliby ich dużo mniej, gdyby słuchali starszych, których mają pod ręką, ale cóż... te same słowa z ust dziadygi ze wsi i z ust dziadygi z lasu mają chyba całkiem inną wagę - rzekł i z większą werwą zaczął trzeć w misce. - Och! Ale chyba taka już ludzka natura.

- Różnie mówią o ludzkiej naturze. - stwierdził de Luge.

- Na przykład?

- Że ludzie zawsze muszą mieć wroga. Inaczej im nudno i rzucają się sobie do gardeł. - Ostrowit znów szeroko się uśmiechnął nie przerywając tarcia zielska.

- Och! Czyżby w mieście źle się działo?

De Luge nie podobała się przenikliwość starca. - *Las mi powiedział* - również mu gdzieś kołatało w głowie i napawało niepokojem. Czarownik bez dwóch zdań... acz rycerz czuł, że gdyby spróbował skrócić go o głowę, mógłby już nie wrócić z wyspy.

- Nic nadzwyczajnego. Mieszczanie kłóca się o pieniąż i towary...

- ... i wpływy, i splendor, i sławę, i co tam jeszcze człecy cenią - wszedł mu w słowo Ostrowit.

- Spokojnie. Zaraz znów będzie z kimś wojna i przypomną sobie o swoich powinnościach. Na te słowa Albert zamrugał.

- Będzie?

- Oczywiście że będzie. I to nie jedna, cała masa wojen. Cała masa noży w plecy - starcowi zdawało się sprawiać wielką radość konsternowanie rozmówcy. - Taki los tych ziem.

- Los? Czy to jakieś fatum na niej ciąży? Szczerze wątpię - rzekł de Luge dumnie, chcąc przejąć inicjatywę w rozmowie. - Nową Marchię zamieszkują pobożni ludzie i Pan Bóg jest dla nas łaskawy.

- A jednak pobożni ludzie boją się wchodzić do lasu, a jeżeli nie, to zwykle z desperacji, szukając podejrzanego, leśnego dziada, by im radził z ich problemami, bo coś modlitwa przed ołtarzem to za duży wysiłek - odparował Ostrowit, patrząc na Alberta sztycherco. - Nie zgrywajcie głupca, panie de Luge. To, co mówię, to nie żadna klątwa ani czary. To z ludzkiej natury wynika, że gdzie człowiek wytyczy granicę, tam zawsze będzie jakaś niezgoda i przepychanki. Od tego się nie ucieknie. I ziemia, i las będą tego wszystkiego świadkami. Będą świadkami wielkich i niesamowitych rzeczy, czynionych przez ludzi. Ich wzniesień i upadków. Będą wznosić umocnienia, ciągnące się przez całe krainy, ze wzgórz czyniąc mury, a z rzek fosy. Będą wznosić ukryte miasta pod koronami drzew i w trzewiach ziemi. Będą zamykać w beczkach ze stali ognistą śmierć, dla której jedno miasto będzie jak niewielka szczapka drewna. Oj, będziemy to wszystko widzieli. I to wszystko przetrwamy. A ludzie... ludzie niekoniecznie, oj niekoniecznie

Im więcej starzec mówił, tym Albertowi robiło się bardziej nieswojo. Choć nie mógł pojąć, jak mogłyby się zadziać rzeczy, o których słyszał, widział oczyma wyobraźni to wszystko. W końcu zamknął oczy i pokręcił głową, próbując się pozbyć niechcianych wizji. Przybycie na wyspę nie było dobrym pomysłem.

- Muszę już wracać - rzekł.

- Tak, musisz - usłyszał roześmiany głos starca. - Wracaj do swojego miasta i do swych obowiązków. Uciekanie od nich nie przysporzy nic dobrego ani tobie, ani twoim ludziom. Jesteś już w wieku, w którym powinieneś to wiedzieć! To rada dziada z wyspy dla ciebie, Alberte de Luge.

Rycerz otworzył oczy i zamrugał. Był na wyspie sam. Między korzeniami wiekowego dębu siedział szkielec z zabrudzoną brodą, trzymającą się resztek zasuszonej skóry. Okrywały go nadgniłe lachmany. W dłoniach trzymał miskę i mózdzierz, a u jego stóp leżał odkorkowany i pusty gąsior.

*

Powiadają, że Albert de Luge miał swoją drugą młodość, która zakończyła się po pewnej wyprawie przez lasy i okoliczne wsie. Przestał skrzykiwać zbrojną switę na wyprawy po okolicach, a zdecydowanie więcej czasu zaczął poświęcać i miastu i Radzie oraz swojej rodzinie. Synów zaczął przyuczać do zarządzania, wszak mieli oni przejąć po nim obowiązki, gdy już będzie niedomagał. Kłótliwych radnych wziął za gęby i raz, a porządnie, ustawił w szeregu. Niektórzy powiadają, że wyczuwał wiatr zmian, bowiem w następnych latach spokoju nie było i chociażby dla przykładu wspomniany gród santocki raz bywał w rękach margrabiów, a raz nie bywał. Powiadają także, że od tamtej wyprawy od czasu do czasu Albert de Luge bywa na miejskich murach, by w wielkim zastanowieniu obserwować rzekę, wzgórze i lasy. I choć wiele osób go widziało, to tylko najbliżsi zauważyli również trwogę, która w tych chwilach odbija się w oczach starego rycerza.

Michał Narożniak - rodowity gorzowianin, miłośnik literatury, przyrody oraz szermierki. Lubi spędzać czas z rodziną w domowym zaciszu i na łonie natury. Rekonstruktor z grupy Milites Landsberg



**GORZÓW
WIELKOPOLSKI**

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wielkopolski

Wspierają nas:



GORZÓW

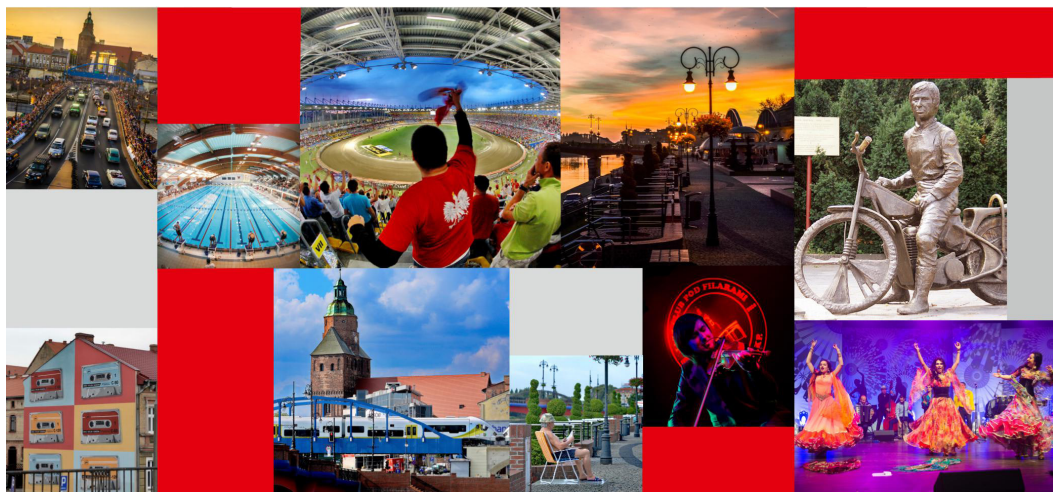
#StądJestem

przystan

www.gorzow.pl

www.GORZOWpl

[gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie NOVUM
ul. Gwiaździsta 12/88 Gorzów Wlkp.,
E-mail: landsbergon@gmail.com,
Tel. 669-847-078

Red. naczelny - Mariusz Sobkowiak,
Zastępca red. naczelnego - Kamil Kwiatkowski,
Sekretarz redakcji - Aleksandra Sobkowiak,
Korekta - Danuta Gołąbek
Redaktorzy merytoryczni - Sebastian Górny,

Piotr Jakubowski, Paweł Karolczuk

Skład - Aleksandra Sobkowiak,

Druk - drukarniaonline.pl Edward Świrkwicz

Grafika na okładce:

Piotr Rossa, ps. Rosikowski - absolwent ISP w Zielonej Górze na kierunku grafika edytorska. Rysuje, modeluje w 3D, foto-manipuluje, używa prawie każdego dostępnego komputerowego narzędzia do tworzenia sztuki cyfrowej. W Gorzowie się urodził, wychował i poznał małżonkę.

Wydanie: Gorzów Wlkp., 15.06.2024 r. ,Numer ISSN 2657-5280 www.landsbergon.pl